Dziś wybory na XX Kongres Syjonistyczny

Nr. 23 CENA **30** GR. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

Konfiskaty „Steru"

Numer 22-gi „Steru" uległ konfiskacie za artykuł Dr. M. Kleinbauma (w całości) oraz za pewne ustępy w artykułach Dr. Romana Brandstaettera i Leopol. Halperna. Jest to już piąta z rzędu konfiskata „Steru". Poprzednio skonfiskowane zostały numery 6, 9, 11, 17.

Z powodów technicznych drugiego nakładu Nr. 22-go nie wydaliśmy. Część materiału z tego numeru powtarzamy w numerze bieżącym.

WYDAWNICTWO „S T E R"

11 lipca 1937 WARSZAWA 3 aw 5697

Okno na świat

ATMOSFERA SARAJEWA

. LLOYD GEORGE PRZEMÓWIŁ ..

Żyjemy w atmosferze Sarajewa. Myśl o wybuchu wojny zadomowiła się nawet w umysłach pacyfistów,. czyli ludzi, którzy dążenia uniknięcia wojny skłonni są przypisywać całemu światu.. Nawet liberalny tygodnik angielski. „New. Statesman. and Nation", pisząc o nieinterwencji, stwierdza:

„Ani Francja, ani Anglia, nie zniosą uzurpowania przez Włochy kontroli nad Śródziemnym morzem. Pomijając już fakt, że zarówno Rosja, jakoteż Turcja bronić będą swych pozycji — obydwie zachodnie demokracje zmuszone będą stanąć do walki z Włochami, zanim zrezygnują z wolności swych dróg morskich na Morzu Śródziemnym. Ale jest rzeczą nader ważną, by rządy Londynu i Paryża wyjaśniły swe stanowisko, jeszcze zanim **wojna stała się jedynym wyjściem z sytuacji".**

Ten spokojny, bardzo spokojny ton liberalnego pisma angielskiego. świadczy wymownie o tym, że możliwość wybuchu wojny jest rozpatrywana na płaszczyźnie realnych i dopuszczalnych możliwości. Rzecz jasna, liberalne sumienie angielskich publicystów i mężów stanu w rodzaju Lloyd George'a, jest nie tylko zaniepokojone zbombardowaniem Guerniki i Almerii, lub też rzezią bezbronnej ludności krainy Basków. Gdybyż tylko to — mój Boże! Ileż to niemniej barbarzyńskich wyczynów t. zw. cywilizowanych ludów minęło bez echa, bądź też znalazło swój oddźwięk tylko w liście do redakcji...

Sumienie liberalnych mężów stanu Anglii zostało wielce zaniepokojone przede wszystkim sprawą Gibraltaru. oraz. Rio-Tinto, sprawą dróg śródziemnomorskich, jakoteż baz surowcowych Anglii na półwyspie pirenejskim. Wybierając się bowiem na swą wyprawę hiszpańską, nowocześni cywilizatorzy Europy, — poza szczytnymi hasłami stróżów i żandarmów ładu i porządku — co za niezwykłą odpowiedzialność dźwigają na swych barkach ci totalni wodzowie! — zamierzali uderzyć sztyletem w plecy zarówno Francji jakoteż Anglii oraz upiec w wojennym ogniu swe kasztany.. Jak dotychczas, pomimo niektórych sukcesów, poparzyli sobie dość boleśnie dłonie.

Prawie rok minął. od. chwili wybuchu wojny hiszpańskiej — a dopiero obecnie mężowie stanu Anglii przejrzeli istotny cel wyprawy na półwysep pirenejski. Mężowie stanu Anglii, szkoły konserwatywnej myślą bowiem bardzo powoli, może — jak utrzymuje opozycja liberalno - labourystowska — zbyt powoli. Na historycznym posiedzeniu Izby Gmin w dniu 25 czerwca rb., premier Mr. Chamberlain, obawiając się snać opozycji, która żądała szybszego myślenia i działania, oświadczył, że sytuacja wymaga „zimnych głów". Mister Chamberlain przypominał na trybunie ową ciotkę Forsytów, która z przerażeniem stwierdza, że dobrze wychowani gentlemani zaczęli jakoś zbyt szybko mówić! Na trybunę wszedł Lloyd George, by odpowiedzieć premierowi...

Przemówienie byłego premiera świadczyło o tym, że pomylili się ci, którzy sądzili że odśpiewał swój łabędzi śpiew. W pełnych sarkazmu słowach, wykpił politykę nieinterwencji. Lloyd George powiedział:

Pan premier domaga się, byśmy zachowali zimne głowy. Tak, ale my powinniśmy mieć nie tylko zimne głowy, ale także twarde serca. Zresztą, każda ryba potrafi wykazać się zimną głową.

W czasie pokoju oraz po pokoju, podczas gdy byłem premierem, a nawet po tym, występowałem nieraz jako zwolennik przyjaznej polityki wobec Niemiec. Broniłem tego stanowiska zarówno na konferencjach, jakoteż w Izbie Gmin. Krytykowano mnie we Francji, jakoteż w tym kraju. Ubolewam bardzo, ale Niemcy uczyniły wszystko, w ciągu ostatnich miesięcy, by usprawiedliwić tę krytykę.

Zbieraliśmy posiedzenia komitetu nieinterwencji. Nie ulega wątpliwości, że w oczach Herr von Ribentroppa, jakoteż Signora Grandi, była to największa farsa, w jakiej brali kiedykolwiek udział. Mister Eden zapewnił nas, że to wszystko ma się ku końcowi. Że nie będą nadal posyłać ochotników. To nie byli ochotnicy. To były jednostki armii włoskiej oraz jednostki wojskowe lotnictwa niemieckiego. Któż wątpi, że Signor Mussolini posyła tam wojska? Pozdrawiaj je. Kazał umieścić nazwiska tych, którzy tam padli, obok nazwisk tych, co zginęli w wojnach, które wszczynał. Czy to okropne oszustwo trwać będzie jeszcze nadal?

Pan minister spraw zagranicznych wie, co się działo w Bilbao. To nie była „czerwona" republika. Wolałbym zresztą być oskarżony o to, że jestem czerwony, aniżeli o to, że mam w głowie zielono. Rozmawiałem z człowiekiem, który był tam do ostatnich czasów. Opowiadał mi, że działało tam dwieście aeroplanów, nasłanych przez kraj, który podpisał z mister Edenem pakt o nie posyłaniu żadnych materiałów wojennych do Hiszpanii. Pewien wojskowy, który służył podczas wojny światowej na froncie, opowiadał mi, że jeszcze nigdy nie był świadkiem takiego bombardowania z powietrza. Że nigdy jeszcze nie był świadkiem większej koncentracji artylerii na froncie.

Cóż mogli temu przeciwstawić Baskowie? Brakło im amunicji, artyleria ich była nie odpowiednia. Powiedziano tu, że wiele materiału wojennego wysłano z Rosji do Hiszpanii. Chciałbym, żeby tak było w rzeczywistości. Jeśli posyłali, mogliby posłać znacznie więcej".

Podaliśmy ten przydługi cytat z mowy Lloyd George'a, w zastępstwie naszej zmonopolizowanej agencji telegraficznej, która, będąc przeładowana dostarczaniem wieści o rozkładzie obozu rządowego we Francji oraz o sukcesach wojsk generała Franco, nie mogła, rzecz jasna, więcej miejsca poświęcić antyniemieckiemu przemówieniu. Minister spraw zagranicznych odpowiedział na wystąpienie opozycji .obroną, .w której starał się wykaać, iż polityka nieinterwencji leży w interesie rządu Walencji. Jak gdyby chcąc podkreślić swą lojalność wobec ministra Edena i zamanifestować jego prawdomówność, rządy Niemiec i Włoch storpedowały pakt o nieinterwencji.

LEIPZIG — GAZ — BACZNOŚĆ!

Przed tym jeszcze wynikł znamienny konflikt o rzekome storpedowanie „Leipzigu". Przypomnijmy, że takie „torpedowania" i „bombardowania" mają swe historyczne precedensy.

Pomijamy tak słynny już przykład Sarajewa. Historia dostarczyła nam szeregu świeżych przykładów.

Tak więc, gdy wiadome państwo w wiadomych celach zagarnęło Mandżurię, komisja wysłana przez Ligę Narodów przybyła do Chin dla zbadania stanu rzeczy. Oficerowie państwa zaborczego starali się przedstawić komisji szereg przyczyn, które zmusiły ich w imię cywilizacji — ach, wciąż ta cywilizacja! — przedsiębrać kroki interwencyjne. Komisja swego czasu, szereg dokumentów przemilczała. Aliści w roku 1936 trzej autorzy liberalni, kryjący się pod pseudonimem „Vigilants" opublikowali szereg pikantnych szczegółów prac tej komisji. Tak więc pewnego dnia doniesiono komisji, iż chińscy żołnierze rzekomo ukryli się w jakimś lesie, skąd, niszcząc pola zasiewne, dorobek biedoty chłopskiej, atakowali wroga. Nazajutrz po owym „ataku" komisja postanowiła ku zgorszeniu, powiedzmy, mandżurskich oficerówź przekonać się naocznie, jak owe zniszczone pola wyglądają. Okazało się, że zboże i kukurydza nadal pięknie kwitły. Po tym dostarczono komisji kawału żelaza, jako dowód, że to Chińczycy mieli wysadzić w powietrze szyny, by uniemożliwić przejazd pociągów. Okazało się jednak, że tą sąmą drogą, po rzekomym zerwaniu szyn, przebiegł kurier, który przybył na stację nieuszkodzony. Łatwo sobie wyobrazić, ile nienawiści kryło się w skośnych oczach japońskich sprawozdawców w stosunku do ekspresu, który zadał kłam cywilizatorskim argumentom...

Najciekawszy jest następujący wypadek: pewnego dnia wezwano angielskiego generała, członka komisji, by mu zademonstrować trupy dwóch żołnierzy chińskich, postrzelonych w chwili, gdy mieli rzekomo wysadzić w powietrze pociąg. Generał angielski spokojnie odrzekł, że poraz pierwszy widzi, by na podobną robotę miast saperów wysyłano zwykłych piechurów. Następnego dnia wezwano generała, pokazując mu oba trupy, odziane od stóp do głowy w mundury chińskich saperów.

Wszyscy pamiętamy, jak słynna wojna o Abysynię, której zaboru, jak wiadomo, opinia publiczna Polski nie zaaprobowała, rozpoczęła się od wypadków przy Ual-Ual, gdzie abisyńscy bandyci mieli mordować włoskich żołnierzy. Dopiero po ukończeniu tej wyprawy, marszałek Balbo, chcąc udowodnić geniusz swego wodza, wyznał, że przecież już trzy lata przed Ual-Ual termin wyprawy abisyńskiej był ustalony.

..Ten przemyślny system, sieć upozorowań, napaści, prowokacyj, świadczą o tym, jak bardzo napastnicy muszą liczyć się z demokracją świata. Atmosferę Sarajewa muszą powoli, systematycznie przygotowywać...

Rzekome zbombardowanie czy też storpedowanie krążownika „Leipzig" miało służyć jako sygnał do zbrojnej akcji przeciw Walencji. Niemcy domagały się wówczas w oparciu o Włochy, wspólnej demonstracji przeciw Walencji. Atoli inscenizacja nie powiodła się: rząd angielski zmuszony był tylko stwierdzić, jak wiele łączy go jeszcze z Walencją. Zaś mister Chamberlain z właściwą sobie „zimną głową" na owym posiedzeniu Izby Gmin oświadczył:

Nie chcę dyskutować w sprawie incydentu, jaki miał miejsce z krążownikiem „Leipzig". Niemieccy oficerowie na tym okręcie są przekonania, że stali się przedmiotem storpedowania. Nie wyłączam możliwości nieporozumienia (oklaski na ławie opozycji). Wiem o tym, iż podczas wojny światowej szereg angielskich oficerów marynarki sądziło, że widzą łódź podwodną, gdy okazało się, że w pobliżu żadnej łodzi podwodnej nie ma. Byli napewno bardzo uczciwi w tym co powiedzieli oraz myśleli w owym czasie".

Mister Chamberlain z właściwym sobie taktem dał do zrozumienia, że fakt storpedowania „Leipzigu" należy między bajki włożyć. Natomiast mniej powściągliwa w wyrażeniach prasa angielska dała do zrozumienia, że chodzi tu o przygotowanie opinii świata do użycia gazów w wojnie hiszpańskiej. Zbyt długo trwają już wysiłki totalistycznych wodzów, by nie wzbudzić obaw, czy nie trwają ZA DŁUGO. Trzeba więc akcję generała Franco przyspieszyć użyciem gazów. Tym bardziej, że nie na żarty zaniepokojony przyszłością imperium rząd Wielkiej Brytanii rozpoczął SZYBCIEJ mówić, SZYBCIEJ myśleć oraz SZYBCIEJ działać.

PRZEMIANY W HISZPANII

Sprawa „Leipzigu" odniosła wręcz przeciwny skutek: przyspieszyła decyzję Anglii oraz zbliżyła ją jeszcze bardziej do sercu jej miłego rządu przyjaciela Indalecio Prieto, profesora Negrina. Polityka niemiecka nie należy do najszczęśliwszych w epoce epigonów wielkiego kanclerza Bismarka. Wielki kanclerz ponoć przeczuł, że przekazuje dzieło swojej epoki znacznie mniejszym, — nawet bardzo znacznie mniejszym — następcom. Rolf Brandt w swej książce „So sieht die Welt-Geschichte aus" opowiada:

Na wiosnę 1923 roku rozmawiałem z księżną Herbertą Bismarck. Opowiadała mi, że Bismarck był w ostatnich latach swego życia przekonany, iż dzieło jego zostanie złamane. Opowiadała mi, jak nie sypiała po nocach, wciąż ciężko wzdychając, i szepcąc: Boże! Mój Boże!'

Zaznaczmy tylko, iż wzdychając in szepcąc „Gott, mein Gott", nie miał Bismarck na myśli ani wotanowskiego Boga, ani też Boga w neopogańskim ujęciu generała Ludendorfa, tylko najprawdopodobniej miał na myśli, pomimo swego sceptycyzmu religijnego, Boga Marcina Lutra. A teraz wracając do spraw hiszpańskich — podkreślić wypada, iż incydent z „Lelpzigiem" zakończył się klęską polityki .niemieckiej ustraszenia Londynu i Paryża, natomiast wzmocnił wpływy Walencji, o czym świadczy wizyta hiszpańskiego premiera w Paryżu.

Rząd Negrina w Walencji oraz rząd nowy Campanysa w Barcelonie zdołał sparaliżować próby rozbicia wielkiego skupienia ludowego, próby, którymi, jak wiadomo, kieruje partia POUM w Katalonii. POUM potrafił zdobyć pewne sympatie kół anarchistycznych w Katalonii oraz, mniej dla rządu hiszpańskiego groźne komplementy pana Jakóbowicza w „Naszym Przeglądzie". Po zlikwidowaniu dywersji na tyłach oraz po izolacji dywersantów — rząd Walencji dał dostateczną gwarancję państwom wielkich demokracji, że zdolny jest zarówno utrzymać w swym kraju porządek i ład, jakoteż poprowadzić zwarcie przeciw wrogowi ujednoliconą armię hiszpańską. Jak powszechnie stwierdzają korespondenci szeregu pism z Hiszpanii ,operacja oczyszczenia tyłów odbyła się bez pomniejszenia entuzjazmu mas w walce przeciw generałowi Franco.

Jeśli na terenie wewnętrznym dojście do władzy rządu Negrina oznaczało pokonanie elementów, zdążających do rozbicia skupienia ludowego—to na terenie międzynarodowym oznacza ono sprzęgnięcie Walencji z sojuszem wielkich demokracji, zbliżenie z Anglią.

Zbliżenie z Anglią nastąpiło po tym, gdy w obozie generała Franco ostatecznie wyparto wszelkie elementy antywłoskie. Obóz generała Franco, po śmierci generała Mola prowadzony bardziej jednolicie, stał się ekspozyturą wyraźną interesów imperialnych albo, jeśli kto woli, imperialistycznych osi Berlin—Rzym. W taki sposób poza rozgrywką faszystowsko - demokratyczną, za jej plecami odbywa się obecnie na terenie Hiszpanii wielka, o niezwykłym dziejowym znaczeniu rozgrywka włosko-angielska.

Zbliżenie Walencji z Londynem rozwiązało ręce Paryża. Rząd Bluma, dbając nade wszystko o synchronizację swych poczynań z Londynem, podkreślał swe przywiązanie do formuł nieinterwencji. Jak wiadomo, minister lotnictwa, radykał Pierre Cot był w tym względzie znacznie radykalniejszy od swych kolegów i częstokroć miał dość przykre dyskusje ze swym wodzem Daladierem i ministrem spraw zagranicznych Delbosem. Jak również wiadomo, na zebraniach rady socjalistycz. Leon Blum zmuszony nieraz wysłuchać bardzo cierpkich uwag toczących polityki nieinterwencji—podkreślał w odpowiedzi konieczność utrzymania za wszelką cenę jednego kroku z Anglią. Wobec tego, iż Anglia dotąd wystukiwała takt zarówno lewą, jak i prawą nogą, uderzając w klawisze generała Franco i rządu hiszpańskiego, — rząd Leona Bluma zmuszony był do współtowarzyszenia w tym bardzo niewygodnym marszu i bardzo nieprzyjemnej grze.

Posiedzenie Izby Gmin w dniu 25 czerwca, ostry atak na rząd — a rząd konserwatywny Anglii jest bardzo rozsądny i dlatego liczy się z głosem opozycji — rozpoczęły jak gdyby nowy okres powolnego zrywania więzów nieinterwencji. Nie jest rzeczą wykluczoną. iż rząd Chautemps'a w znacznie wygodniejszej sytuacji zaspokoi bardziej — ze względu na odmienne warunki międzynarodowe — postulaty ostatnich uchwał międzynarodówki zawodowej i socjalistycznej — aniżeli rząd Bluma.

DA CAPO AL FINE

Na odcinku hiszpańskim jesteśmy zatem świadkami współpracy trzech mocarstw: Anglii, Francji, oraz Sowietów. Zbliżenie między Sowietami a Anglią nie ulega wątpliwości. Czyż więc wracamy do zespołu przed wojennego Rosji, Francji oraz Anglii, przy współudziale Stanów .Zjednoczonych, Belgii i państw małej Ententy?

Trudno jeszcze przewidzieć dzisiaj ostateczny układ grup w przede dniu nowej wojny światowej. Jednakowoż linia podziału zdaje się coraz wyraźniej zarysować. Podkreślmy, patrząc przez nasze okienko na świat w tym tygodniu, znamienne zainteresowanie, jakie Anglia wyraża dla spraw Europy środkowej, a szczególnie sympatie z jaką minister Eden przemawia o Czechosłowacji. Zmuszeni jesteśmy tu znowu podać następujący ustęp z przemówienia minisra Edena:

„Nie wolno nam, gdybyśmy nawet tego pragnęli, odnieść się obojętnie do biegu wypadków w Europie Środkowej, tak samo, jak nie możemy obojętnie odnieść się do wypadków gdziekolwiek w innym miejscu na powierzchni kuli ziemskiej. Nasze zainteresowanie pokojem jest powszechne. Poza wszystkim, nie wolno nam zapominać, że ostatnia wojna światowa rozpoczęła się poza Belgią (Eden ma na myśli Sarajewo)".

Jak widzimy, minister Eden wypowiedział się wyraźnie za koncepcją niepodzielnego pokoju, jakoteż wyraźnie zaznaczył, iż Anglia nie zamierza pozostawiać komukolwiek swobody działania w Europie Środkowej, najmniej zaś najprawdopodobniej— Niemcom.

W świetle tych oto przemian w polityce wielkich demokracyj należy odpowiednio ocenić poczynania polityków rumuńskich: Anglia wraz z Francją posiadają bowiem dostateczne argumenty dla skłonienia Rumunii do zachowania wierności polityce ligowej. A trzeba pamiętać o tym, że Jego Królewska Mość Karol II, jeszcze podczas swego pobytu w Paryżu świetnie opanował język francuski...

OUTSIDER.

Pod hasłem:

Cały Naród dla Erec-Izrael

cała Erec-Izrael dla Narodu

idzie do Wyborów Kongresowych

1 Organizacja Syjonistyczna w Polsce 1

(Zjednoczenie Światowe
Ogólnych Syjonistów)

Od redakcji

W poprzednim .numerze .zamieściliśmy artykuł, częściowo skonfiskowany, Leopolda Halperna p. t. „My i Ukraińcy". Artykuł ten zawiera zarys historyczny stosunków żydowsko - ukraińskich w subiektywnym oświetleniu autora. .. .. ..

W następnym numerze przyniesiemy artykuł p. t. „Trójkąt polsko-ukraińsko-żydowski", wyrażający stanowisko naszego pisma wobec aktualnej politycznej strony tego zagadnienia. .. ..

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Syjoniści — do urn wyborczych!

W dniu dzisiejszym, 11 lipca odbywają się w Polsce (prócz Małopolski) wybory delegatów na XX Kongres Syjonistyczny. Za chwilę stutysięczne masy żydowskie w całym kraju pójdą do urny wyborczej, by zgodnie ze swym sumieniem, przekonaniem i wiarą spełnić obowiązek syjonistyczny.

W „chwili dziwnie osobliwej" odbywają się w tym roku nasze wybory kongresowe, w chwili, kiedy dosłownie ważą się losy metod i możliwości realizacji syjonizmu w nadchodzącym okresie. Pójdziemy do biur wyborczych, by oddać głos nasz na kandydatów jednej z partii syjonistycznych, by zająć stanowisko wobec wewnętrznych zagadnień spornych naszej wielkiej Organizacji, by zadeklarować się za jednym z pośród kilku światopoglądów partyjnych naszego narodowego ruchu — ale jeszcze w poprzedzającą akt wyborczy środę ogłoszono projekt radykalnej reformy ustroju politycznego Palestyny, stawiający w zupełnie nowej płaszczyźnie perspektywy realizacji syjonizmu. Pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami zarysowuje się ogromna dysproporcja wagi i doniosłości i to nadaje szczególny charakter obecnym wyborom.

Jeśli przed dwoma laty i dawniej wybory odbywały się pod znakiem walki wewnętrznej w syjoniźmie — to teraz wszelkie zagadnienia sporne, socjalne, religijne czy kulturalne, niezależnie od swej obiektywnej doniosłości, odsunięte są na plan dalszy. Centralnym i w chwili obecnej jedynym zagadnieniem dnia jest sprawa naszej polityki zewnętrznej, jest solidarna akcja całego obozu syjonistycznego w kierunku wywalczenia jak najlepszych i najszerszych warunków urzeczywistnienia syjonizmu w najbliższej przyszłości.

Historyczna powaga chwili żąda od nas, aby akcja ta była **solidarna.** Sprawy polityczne nie śmią się stać zalążkiem walki wewnętrzne w łonie naszego ruchu. Sprawy polityczne nie mogą też być odsunięte na bok przez zbyt silne akcentowanie w obecnej wyjątkowej chwili zagadnień spornych w charakterze wewnętrznym. Syjonistyczna racja stanu, historyczny interes całego ruchu, który w naszym przekonaniu jest interesem całego narodu, winien być wysunięty na plan pierwszy. Tego żąda od nas nakaz dnia, tego żąda odpowiedzialność wobec powagi rozgrywających się w naszych oczach dziejowych wydarzeń.

Tak oto hasło podporządkowania wszystkiego **syjonistycznej racji stanu,** z którym od lat kroczy **demokratyczny ogólny syjonizm,** stało się dziś koniecznością dla całego ruchu. Któż więc lepiej potrafi zagwarantować podporządkowanie się tej konieczności, jak właśnie demokratyczny ogólny syjonizm, któremu obce są wszelkie klasowe czy grupowe kryteria? Jeśli w chwilach walki wewnętrznej o podłożu socjalnym na plan pierwszy wysuwają się ugrupowania klasowe — to w przełomowych dniach rozstrzygania się losów **całego** ruchu do głosu decydującego winien dojść kierunek, hołdujący wyłącznie i jedynie interesem syjonizmu, jako całości.

W ostatniej chwili przed aktem wyborczym nie czas na teoretyczne rozważania — dla czytelników „Steru" są one zresztą zbędne w **obecnym momencie.** Zdążyliśmy już bowiem przed naszymi czytelnikami rozwinąć i uzasadnić nasz narodowy, demokratyczny i progresywny socjalnie światopogląd. Dziś przychodzimy z wezwaniem: skoro uznajecie naszą rację, skoro nasze przekonania są Waszymi przekonaniami — dajcie aktywny wyraz swym przekonaniom, **idźcie do urny wyborczej, by oddać głos na listę Nr. 1 Organizacji Syjonistycznej w Polsce, przyłączonej do listy Światowego Zjednoczenia Ogólnych Syjonistów**! Lista ta jest Waszą i naszą listą — na liście tej kandydujemy.

Propaganda zagraniczna

Polska prasa nacjonalistyczno - antysemicka obu odłamów lubi oburzać się na Żydów za wiadomości o postępach i wyczynach antysemityzmu, które przedostają się za granicę i wywołują odpowiednią reakcję demokratycznej opinii publicznej na Zachodzie. Prasa ta zdaje sobie sprawę, że **skutki** antysemickich wyczynów szkodzą polskiej propagandzie zagranicznej, udaje jednak, że nie rozumie, iż szkodliwe **skutki** mogą tylko zniknąć wraz z **objawami,** które je **powodują.** Prasa ta woli iść po linii najmniejszego oporu i gniewać się na Żydów za to, że za granicą pisze się o tym, że im jest niedobrze.

Okazuje się jednak, że wiadomości te przedostają się za granicę nie za pośrednictwem Żydów albo ich zachodnich przyjaciół, ale z całkiem innych źródeł. Oto katowicka **„Polonia"** ogłasza artykuł swego amerykańskiego korespondenta p. Jana Drohojowskiego, który opowiada bardzo ciekawe i mało znane w kraju rzeczy:

„Reprezentacyjny dziennik „The New York Times" zamieścił dnia 5 b. m. długi kablogram swego płodnego korespondenta **Ottona D. Tolischus'a** na temat akcji Obozu Zjednoczenia Narodowego. Tolischus uzyskał oświadczenie **pułk. Kowalewskiego,** z którego przytaczam kilka urywków:

„Polska odsuwa się od zasad demokracji z równymi prawami dla wszystkich narodowości w Jej granicach,. co zostało określone w Traktacie Wersalskim, jako waruntk Jej ponownego utworzenia i usiłuje zbudować przez organizację z góry, zamiast przez rewolucję z dołu, państwo autorytatywne („authoritarian"), władane przez Polaków, pod wodzą marszałka Rydza Śmigłego i z gwarancją wojska dla dobra większości polskiej..."

Dalej miał oświadczyć p. pułkownik, iż Polska **zbuntowała się przeciwko Traktatowi Wersalskiemu** i prowadzi „drugą wojnę o niepodległość'. Znajdujemy również porównanie socjalizmu Piłsudskiego i nacjonalizmu Dmowskiego. Pierwszy czerpał jakoby natchnienie w Rewolucji Francuskiej, a drugi w narodowym egoizmie pruskim.

Z sążnistych wywnętrzeń wyciąga oczywiście p. Tolischus wnioski „ad usum" **obecnie bardzo demokratycznej i antyniemieckiej opinii.**

Pierwszym jego wnioskiem jest twierdzenie, że Polska dotyka jakoby peryferii reżimu III Rzeszy, dalej, że gdy perswazja nie wystarczy, wówczas organizacja przystąpi do ostrego komenderowania".

„Polonia" — pismo nie żydowskie i nie lewicowe, ale polskie i katolickie, doskonale zdaje sobie sprawę, że podobne oświadczenia p. pułkownika mogą służyć za podstawę dla wyciągnięcia pewnych wniosków przez amerykańską opinię publiczną, która jest „obecnie bardzo demokratyczna i antyniemiecka". Korespondent „Polonii„ nie chce być posądzonym o stronniczość w ocenie nastawienia amerykańskiej opinii, unika więc własnych komentarzy i poprzestaje na zacytowaniu artykułu naczelnego publicysty tegoż **„New York Times"** (w którym ukazał się cytowany wywiad z płk. Kowalewskim) p. t. „Demokracja i dyktatura":

„Spokojnym rozumowaniem dochodzi do przekonania, że dyktatury Rosji, Niemiec i Włoch nie są niczym niezwykłym. Czy jednak pod reżimem autorytatywnym wszystko rowija się pomyślnie? „The New York Times" jest innego zdania. W Rosji, mimo ewolucji, poziom życiowy mas jest niezwykle niski. Włochy po części osiągnęły swe narodowe aspiracje, lecz również nie zapewniły masom pracującym względnego nawet dobrobytu. Niemcy wreszcie szybko kroczą po niebezpiecznej drodze inflacji kredytu, trwoniąc odziedziczoną spuściznę i obdłużając przyszłość. Artykuł kończy się zdaniem: „Dotychczas materiał dowodowy na korzyść zwrotu od demokracji ku dyktaturze, nie jesr przekonywujący".

Korespondent „Polonii" kończy swój artykuł z za oceanu bardzo wymowną i wcale nie pozbawioną słuszności aluzją:

„Prawdopodobnie redakcyjne wystąpienie pisma „The New York Times" nie pozostaje w związku z kablogramami korespondenta warszawskiego, niemniej jednak **wnioski co do celowości oświadczeń „miarodajnych osobistości", nasuwają się same przez się".** . . .

Trzecia wiara Trzeciej Rzeszy

„Goniec Warszawski" podaje charakterystyczne szczegóły, ilustrujące walkę z chrześcijaństwem w Niemczech hitlerowskich. T. zw. „Deutsche Glaubensbewegung" opublikowało program, którego cztery punkty brzmią:

„1) Deutsche Glaubensbewegung (D. G.) stwierdza, że osoba Jezusa Chrystusa nie może nadal być wzorem dla świata, ponieważ pominął On w swej nauce tak decydujące w życiu czynniki, jak rasa„ krew i honor (!).

2) D. G. poczytuje więc sobie za obowiązek naprawić te szkody, jakie duszy germańskie wyrządziło chrześcijaństwo.

3) W tym celu należy stworzyć nową religię, która by wynikała z istoty rasy nordyckiej.

4) Należy uwolnić pańswo niemieckie od wszelkich wyznań chrześcijańskich przez: a) pozbawienie kościołów wszelkiej pomocy ze strony państwa; b) odsunięcie wyznań od wpływu na szkołę; c) skasowanie fakultetów teologicznych na uniwersytetach; d) uwolnienie obywateli od obowiązku chrztu; e) wyeliminowanie wszelkiego pierwiastka wyznaniowego ze szpitalnictwa; f) rozdział Kościoła od państwa..."

Na marginesie tego wymownego „programu" nacjonalistyczna popołudniówka dodaje następujące szczegóły i komentaze:

„O tym programie walki z Kościołem wspomniał ostatnio biskup z Rotemburga msgr. Sproll w swym proteście, jaki wystosował do ministerstwa wyznań, podkreślając, że na terenie jego diecezji władze szkolne już jawnie propagują neopogaństwo. Ukazał się mianowicie p. n. „Katechismus Wahrheiten" (Prawdy katechizmowe) specjalny cyrkularz, rozsyłany w formie broszury do nauczycieli, w którym zostały zawarte komentarze do programu „Trzeciej Wiary", ujęte w formę nowej doktryny filozoficznej i religijnej.

„Istnieją trzy zasadnicze poglądy na świat" — głosi cyrkularz. — „Pierwszy to światopogląd **organiczny,** wynikający z rzeczywistości, której nie da się z życia ludzkiego usunąć, a o której decyduje krew i rasa. Drugi rodzaj światopoglądów to teoria, **wynikająca z koncepcji intelektualnych** (np. liberalizm żydowski). Trzeci wreszcie zasadniczy typ poglądu na świat, to ten który **bierze początek w objawieniu".** . . .

W taki to uproszczony sposób reżim Nazich przedstawia nauczycielom lub wychowawcom niemieckim genezę światopoglądów, dodając z całkowitą szczerością, że „między faszyzmem a ideologią narodowego socjalizmu zachodzi zasadnicza różnica. **Faszyzm bowiem to jedyne zjawisko polityczne, a narodowy socjalizm, to nowy, różny od dotychczasowych panujących w cywilizacji, światopogląd, który wyklucza wszelkie objawienie i dowolne systematy intelekualne; a opiera wszystko na najwyższej organicznej rzeczywistości życia zbiorowego, jaką jest rasa, która właściwie decyduje o tych czy innych tendencjach moralnych i umysłowych ludzkości...** Narodowy socjalizm sięga do głębi duszy ludzkiej i dlatego Niemcy muszą uczynić wybór: **albo narodowy socjalizm, albo chrześcijaństwo".** . . .

Nie tylko Niemcy muszą uczynić ten wybór pomiędzy prawdziwym chrześcijaństwem a narodowym socjalizmem i ruchami pokrewnymi, które opierają się na rasowo - narodowościowej nienawiści, obcej zasadom chrystianizmu. Wybór ten muszą też uczynić „chrześcijanie" z „Gońca Warszawskiego".

Były apele i były przyrzeczenia

P. Lector z **„Naszego Przeglądu"** cytuje nasz artykuł, krytykujący t. zw. reprezentację „Koła" i „Agudy Nr. 21 „Steru"), a w szczególności ustęp, w którym stwierdzamy, że zarówno parlamentarzyści z „Koła", jak parlamentarzyści z „Agudy", „wbrew zimie 1936 r. i wiośnie 1937 r. w sejmie tym po dziś dzień pozostali, mimo nieustannych i uporczywych apelów naszej opinii społecznej do złożenia mandatów, mimo własnych solennych w tym kierunku przyrzeczeń". Na marginesie tych słów p. Lector zapytuje: Gdzie owa „opinia?" I kiedy to posłowie sami przyrzekli się usunąć?"

Przypominamy więc: **już w czwartym** miesiącu kadencji obecnego sejmu, w okresie rozpatrywania „lex Prystorowa" i pierwszych antysemickich wystąpień „sanacyjnych" posłów poczęły się rozlegać w publicystyce coraz częstsze głosy, kwestionujące celowość pozostawania parlamentarzystów Żydów na ulicy Wiejskiej. I to nie tylko w pismach wyraźnie „bojkotowych", jak „Hajnt", ale także w innych, m. inn. w „Naszej Opinii", na którą p. Lector teraz powołuje się. Podnosiły to nie tylko partie bojkotowe, ale nawet takie, które teraz przystąpiły do reprezentacji „Koła" i „Agudy" (np. Judenstaatspartei urządziła w Łodzi wiec pod hasłem: „Posłowie żydowscy — złóżcie wasze mandaty!"

Sami zaś posłowie? Przyrzekali, a jakże. Filar obecnej „reprezentacji", p. Mincberg, w gorących dniach walki o sprawę „szechity" zapowiedział, że złoży mandat sejmowy, jeśli zniesie się ubój rytualny. Drugi filar „reprezentacji", dr. Gotlieb, był już trochę bardziej powściągliwy w przyrzeczeniach, odpowiadając na wiadome apele oświadczeniem, że złoży mandat po powzięciu odnośnej uchwały przez władze... **zunifikowanej** Organizacji Syjonistycznej w Polsce, która jeszcze nie istnieje.

Były więc apele. Były też przyrzeczenia mniej i więcej powściągliwe. Pierwszych nie usłuchano — drugich nie wypełniono.

Lista Demokracji Syjonistycznej nosi Nr. 1

PRZEZ MADRYT DO PRAGI

„Wspaniale! Zapadła najdonioślejsza bodaj decyzja polityczna od 30 stycznia 1933 r. Nareszcie „Nazi" dostali nauczkę, Hitler odwołuje do domu swoją flotę z morza Śródziemnego. Jaka klęska—przed światem i przed własnym narodem".

„Czy jest Pan tego taki pewny?"

„Tym razem tak. Zna Pan mój pesymizm. Wie Pan, jak przed tygodniem zwątpiłem w Anglię. Ale teraz! Jedne dobitne słowo angielskiego premiera wystarczyło: „Anglia, ufna, w zwiększającą się siłę zwych zbrojeń, zna też granice ustępliwości..."

„Mówiliśmy ostatnim razem o osobie Hitlera. Pan widział go jeszcze niedawno w „Carlton-Restaurant" w Monachium i to zupełnie z bliska..."

„Tak, siedział on przy sąsiednim stoliku otoczony grupą „S.S.-Männer", każąc co chwilę podawać sobie jedną gazetę po drugiej. Nerwowo i bezplanowo przerzucał stronę po stronie, zatrzymując wreszcie na jednej z nich swój środkowy palec. Tak wygląda ten człowiek w rzeczywistości!".

„Ten człowień ma jednak odwagę występować przeciw całej Europie, czując instynktownie, że jest od wszystkich silniejszy i obdarzony przekonaniem o posiadaniu największego wśród współczesnych powodzenia. Cóż bowiem gniecie najbardziej tych ludzi? Zmęczenie i strach przed życiem. Czerpią oni jeszcze głęboko za ostatnią wojnę. Czyż nie pragniemy wszyscy spokoju, spokoju i spokoju za wszelką cenę?"

(Po krótkiej pauzie): „Spodziewał się Pan, gdy widzieliśmy się ostatnim razem, odwiedzin męża zaufania kierowniczej osobistości gospodarstwa holenderskiego".

„Osoba ta rzeczywiście wtedy przybyła".

„Jak nazywa się ta osobitsość?"

„Też pytanie! Czyż nie ma Pan na języku tego międzynarodowego nazwiska? Ale dość! Jej informacje o rzeczywistych celach niemieckiej polityki zagranicznej pochodziły z pierwszej ręki. Zainteresuje Pana zapewne, że Hiszpania jest dla Berlina w gruncie rzeczy tylko drogą okrężną? Drogą okrężną i pretektsem?"

„To ogromne zdenerwowanie ostatnich dziesięciu dni, które doprowadziło Europę bliżej niż kiedykolwiek nad przepaść wojny, zmobilizowanie floty hiszpańskiej i jej wycofanie, wymuszone angielską groźbą — to tylko droga okrężna?"

„Bardzo możliwe, że Hitler tym razem posunął się za daleko, najprawdopodobniej zachęcony wspomnieniem 7 marca 1936 r., daty wkroczenia kilku batalionów do strefy nadreńskiej. Szanse pokoju i wojny miały się wtedy do siebie — według oświadczenia kanclerza — jak 1:9, ale świat dzisiejszy nie jest tak zupełnie światem z przed pięciu kwartałów. Oczywiście, niemieckie aeroplany dla generała Franco jeszcze - teraz przelatują nad Francją w nocy i na niewielkiej wysokości (tak marnie działa francuska powietrzna służba wywiadowcza!) Broń i amunicję przesyła się przez Portugalię. Tą samą drogą wysyła się do ojczyzny rannych oficerów niemieckich. Z „awanturą hiszpańską" Hitler niewątpliwie zrazu myślał poważnie. Hiszpania — jako niemiecka baza surowcowa, to jedno. Ale teraz doszło coś jeszcze. Niech tylko Włochy dalej angażują się..."

„I niech angielsko-włoska nienawiść rozpłomieni się jeszcze silniej na tle hiszpańskiej wojny domowej..."

„Zgadł Pan! Ale czy sądzi Pan, że stosunki pomiędzy Berlinem a Londynem, wzajemne obelgi prasowe należy brać poważniej od stosunków Berlin—Rzym..?"

„Domyślam się, dokąd Pan zmierza..."

„Tak, albowiem Hitler, jak zresztą także my czujemy, że w bliższej przyszłości możliwa jest *jedna* wojna: angielsko-włoska. Byłaby ona największą szansą Hitlera w polityce światowej. Wojna hiszpańska dla polityki berlińskiej, z każdym dniem coraz bardziej kierowanej wyłącznie przez „Führera", jest wskaźnikiem, jak daleko można posunąć nacjonal-socjalistyczne wyzwania w tej Europie, pogrążonej w zmęczeniu i zamiłowaniu spokoju.

„Uważa więc Pan, że mając do wyboru pomiędzy Londynem a Rzymem, Berlin jeszcze dzisiaj wybierze Londyn?"

„Tak".

„Uważa więc Pan chyba dalej, że w wypadku wojny Berlin może porzucić Rzym...?"

„Tak samo, jak anno 1935 Rzym porzucił Berlin".

„Tego też po dzień dzisiejszy nie przebaczyli ani nie zapomnieli Włochom bardzo liczni Niemcy".

„Hiszpania — to tylko kręta droga. Berlin mówi Walencja, a myśli — Praga..."

„Praga?"

„Niech Pan nie myśli, powiedział mi ostatnio mój Holender, że Hitler, przy całej swoje politycznej nienawiści i przy wszystkich pozornych sprzecznościach, straci kiedykolwiek z oka swój wielki cel. W gruncie rzeczy nie ma obawy wojny Niemiec przeciw komukolwiek, w każdym razie chwilowo nie wchodzi w rachubę wojna Niemiec przeciw Anglii, Francji, Rosji. Niemcy żądają za to zapłaty za pozostanie w spokoju przez okres rozgrywki angielsko-włoskiej. Kompensacje w Europie Środkowej, stopniowe urzeczywistnianie koncepcji Wielkich Niemiec, europejska pax britanno-germanica tolerowana nolens volens przez Francję. Tak wygląda obraz przyszłości w głowie Adolfa Hitlera. Bardzo wymowne jest nadzwyczajne zainteresowanie Pragi, wydarzeniami hiszpańskimi. Praga,(jak również Berlin z dniem każdym coraz bardziej znajdują się na Qui vive"...

„Miejmy nadzieję, że nie za późno."

N. Z.

Na liście Organizacji Syjonistycznej w Polsce

figurują:

1

Grünbaum
Brodetzky
Goldmann
Rosenblatt
Schipper

Kleinbaum
Melchett
Hindes
Hartglas

1

Na liście Światowego Zjednoczenia Ogólnych Syjonistów kandydują: WEIZMANN, WISE.

Leopold Halpern

COKOLWIEK SIĘ USTANOWI...

Kiedy słowa te ukażą się w druku, znane już w zarysach z prasy, główne wytyczne sprawozdania i zaleceń Komisji Królewskiej dla Palestyny będą już oficjalnie ogłoszone przez radio w Jeruzalem, a deklaracja rządu angielskiego o nowej polityce w Palestynie zostanie opublikowana.

Jeśli w ostatniej chwili nie zajdą żadne nieprzewidziane okoliczności, wówczas w środę, 7 lipca, o godz. 9 w. według czasu palestyńskiego rozwieje się ostatecznie mgła domysłów, tajemnic i plotek, która prawie od roku rozpostarła się nad Palestyną i nad całym światem żydowskim. Ujawnią się ostatecznie i oficjalnie założenia i projekty, jeden zaś z nich najprawdopodobniej stanie się podstawą polityki palestyńskiej rządu brytyjskiego.

Jaką możliwość wybierze rząd angielski po opublikowaniu projektu Komisji Królewskiej.

Najkorzystniejszą dla nas ewentualnocią byłoby, oczywiście, konsekwentne i zdecydowane stanięcie mandatariusza na gruncie Mandatu palestyńskiego — nieograniczone, w sensie merytorycznym i terytorialnym, wypełnianie jego postanowień, których duch i litera przepojone są koncepcją syjonistycznego rozwiązania sprawy żydowskiej i sprawy palestyńskiej. Pozbawieni nawet obecnie, a może w najbliższych 2 — 3 dziesięcioleciach własnych form państwowych, otrzymalibyśmy wszakże rzecz o niemniejszej doniosłości: możność stopniowego, ale stałego opanowywania kraju w każdej dziedzinie jego życia, którąby bardzo szybko doprowadzić musiała do nadania Palestynie zdecydowanie żydowskiego charakteru. Wtedy własne formy państwowe, własna suwerenność polityczna zostałyby przez nas uzyskane, jako ukoronowanie procesu faktycznego opanowywania kraju. Tak byłoby w wypadku, gdyby czynniki, w których ręku znajduje się obecnie decyzja o dalszym kierunku rozwoju Palestyny, zdecydowały się na wybór ewentualności dla nas najbardziej korzystnej.

Cóż, kiedy w polityce ewentualność dla danej strony najkorzystniejsza bywa najczęściej ewentualnością dla niej najmniej realną. Nie o niej więc myśleć nam wypada, gdy przygotowujemy się psychologicznie do przyjęcia angielskich decyzji. Jeszcze Chaim Arlosorow ostrzegał nas przed naiwnym spodziewaniem się, że angielscy politycy, choćby najbardziej z ruchem naszym sympatyzujący, będą działać i mówić tak, jakby to czynili... członkowie syjonistycznego A. C. Te mądre, choć przykre słowa trzeba sobie dobrze wbić w pamięć.

Więc może nad ewentualnościami dla syjonizmu najbardziej niekorzystnymi powinniśmy się zastanowić w przededniu doniosłych decyzji? Tak jest. Nie dlatego, żebyśmy rozumując a contrario, mieli dojść do wniosku, że te właśnie ewentualności są najbardziej realne. Nie, to nie. Dalecy od wygodnego optymizmu, zbyt dobrze jednak nauczeni jesteśmy doświadczeniem 18 lat polityki brytyjskiej w Palestynie, by wiedzieć, że z bogatego arsenału metod politycznych, możliwych do zastosowania na tym terytorium mandatowym, Anglia nigdy nie wybierze takich, któreby oznaczały wyraźnie opowiedzenie się po stronie jednej części ludności. Jeśli więc teraz staramy się zastanowić nad ewentualnościami dla nas najniebezpieczniejszymi, to raczej dlatego, by znaleźć właściwe kryterium w ocenie innych możliwości, wprawdzie daleko nie idealnych, ale za to bardziej dla nas korzystnych i zarazem bardziej realnych.

O jednej z tych najgroźniejszych dla nas możliwości nie trzeba nawet wiele się rozwodzić — wystarczy samo sformułowanie jej treści. Rada Legislatywna, odzwierciadlająca skład narodowościowy ludności Palestyny w jej obecnej, przejściowej fazie rozwojowej, a w czenie żydowskiej imigracji, zabronienie albo ograniczenie żydowskich zakupów ziemi. To jest jasne. Ale mniej jasne są niebezpieczeństwa, związane z inną ewentualnością, i dlatego wypada się nad nią zatrzymać. Można byłoby określić ją w taki oto sposób: formalnie, pod względem konstytucyjnym — „status quo", ale faktycznie ograniczenie możliwości imigracji i odbudowy do minimum bez znaczenia. Coś w rodzaju stanu, który mieliśmy po latach 1920 — 1921, albo po roku 1929, albo obecnie, po przyznaniu nam 500 certyfikatów wiosną 1937 r. Taki stan oznaczałby dla syjonizmu znalezienie się w ślepym zaułku, taki stan byłby dla syjonizmu groźny.

To nic, że na przestrzeni czterdziestoletnich dziejów syjonizmu politycznego mieliśmy już kilkakrotnie dłuższe i krótsze okresy zastoju. To nic, że zwycięsko, a nawet bez poważniejszych wstrząsów przetrwaliśmy długie lata antysyjonistycznego oporu Turcji za czasów Herzla, okres samej wojny, lata 1921, 1929 i 1936.

I dziś także, a może nawet pewniej niż za lat poprzednich przetrwalibyśmy wszelkie „pauzy", silniejsze bowiem niż dawniej są podstawy naszego dzieła w Palestynie. Jeśli więc okres zastoju obecnie uważamy za niebezpieczny, to mamy przede wszystkim na myśli masy żydowskie w diasporze, szybkość zaostrzania się kwestii żydowskiej w krajach wielkich skupień żydowskich, potężną dynamikę emigracyjną, która musi znaleźć dla siebie ujście w masowej „alii" palestyńskiej. Pod tym kątem widzenia *syjonizmowi nie wolno dzisiaj znaleźć się na martwym punkcie*. O tym pamiętać muszą politycy syjonistyczni, to winno być naszym probierzem w ocenie projektu rozwiązania zagadnienia palestyńskiego, który się wkrótce ustanowi...

Czy znaczy to, że mamy wyrazić naszą zgodę na każdy projekt, który nie będzie połączony z pauzą, z zastojem, z martwym punktem? **Nie**. My **zgodę** możemy wyrazić tylko na jeden projekt: na ten, który Anglia w 1917 r. proklamowała przez usta Balfoura, który zatwierdzony został w postaci Mandatu przez Ligę Narodów i Stany Zjednoczone Am. Płn., który zaleca mandatariuszowi popieranie odbudowy Żydowsk. Siedziby Narodowej w Palestynie, w całej Palestynie, bez żadnych **politycznych** ograniczeń imigracji, zakupów ziem, albo zgoła rozmiarów terytorium budującej się żydowskiej Palestyny. My zgodzić się możemy na to, co tak pięknie ostatnio zostało sformułowane w haśle wyborczym demokratycznego syjonizmu w Polsce: *„Cały kraj dla narodu!"*

Jeśli jednak i tym razem ewentualność najkorzystniejsza będzie zarazem najmniej realna, albo w ogóle realizmu pozbawiona, jeśli w miejsce „całego kraju" przyzna się narodowi tylko **część**, wprawdzie obdarzoną własnymi formami państwowymi, wprawdzie znaczną i ważną, ale tylko **część?**. Czy mamy zgodzić się, czy odrzucić? — oto pytanie o niebywałej doniosłości, na które odpowiedzieć będzie naczelnym zadaniem zbliżającego się 20-go Kongresu Syjonistycznego. Przy całej jednak doniosłości politycznej, związanej z tym pytaniem i naszą odpowiedzią na nie — nie to są rzeczy najważniejsze i najbardziej podstawowe.

Punkt centralny i decydujący obecnej sytuacji politycznej syjonizmu tkwi w innej płaszczyźnie: *cokolwiek się ustanowi w Londynie, niezależnie od tego czy będziemy mogli na to wyrazić naszą zgodę, czy też zmuszeni zostaniemy do jej odmówienia — dzieło odbudowy Żydowskiej Palestyny musi być wszelkimi sposobami i w każdych warunkach kontynuowane.*

To jest nasz polityczny aksjomat — do niego musimy dostosować naszą taktykę. A więc na pierwszym planie: zdecydowane stanowisko zasadnicze wobec projektu reformy polityki palestyńskiej i ustroju prawnego dotychczasowego terytorium mandatowego. Ale obok tego: skierowanie wszystkich twórczych wysiłków w kierunku wywalczenia jak najlepszych w danych okolicznościach warunków realizacji naszych narodowych nadziei w Palestynie.

Cokolwiek bowiem ustanowi się przejściowo, nie zrezygnujemy z pełnej realizacji iedi syjonizmu. Cokolwiek się ustanowi, będziemy w każdych warunkach czynić to, co nas do tej realizacji przybliży.



Inż. A. Glizer

ZWYCIĘSTWO CZY KLĘSKA?

(KORESPONDENCJA WŁASNA „STERU" Z PALESTYNY).

Komisja Królewska zaproponowała podział Palestyny. Nie odstraszyły jej ani oczywiste trudności przeprowadzenia tego planu, ani brak entuzjazmu dlań zarówno po jednej, jak i drugiej stronie barykady palestyńskiej. Plan, opracowany, jak wolno sądzić, w ścisłej współpracy z odnośnymi fachowcami rządowymi, nie dozna zapewne zasadniczych zmian w trakcie rozpraw gabinetu londyńskiego. Możemy tedy oczekiwać ogłoszenia sprawozdania komisji Peel'a wraz z uchwałami rządu, których treścią będzie zaproponowanie Lidze Narodów utworzenia państwa żydowskiego w zachodniej części Palestyny, a arabskiego we wschodniej.

Nie będzie zapewne dalekie od prawdy twierdzenie, że nie ma prawie żyda, któryby nie przyjął tej wieści z uczuciem — mieszanym. Realizacja marzenia dwuch tysiącleci przychodzi w formie, która nie pozwala się nią cieszyć tak, jakbyśmy się cieszyli, gdyby przyszła pełna i całkowita. Zamiast wskrzeszenia Rzeczypospolitej chce nam znowu nasz Napoleon dać Księstwo Warszawskie. Zapewne, trudno sformułować zdanie ostateczne, gdy ze wszystkich szczegółów planu podziału tylko jeden jest, jak dotąd, pewny: ten mianowicie, że zachodnią granicą państwa żydowskiego będzie Morze Śródziemne... Nie wiadomo dokładnie, jak biegnie proponowana granica wschodnia i wiele zostawia możliwości rozwojowych. Wiadomo wprawdzie, że dokonano w tym względzie pod sam koniec obrad wielu zmian na naszą korzyść (oczywiście nie bez wpływu w tym kierunku Egzekutywy, która zmobilizowała wszystkich możliwych przyjaciół naszej sprawy od prezydenta największej republiki świata po przez premiera największego mocarstwa kontynentu do ministrów dalekiego dominium południowo - afrykańskiego). Z tym wszystkim pozostało jeszcze dużo punktów tajemniczych zarówno w sprawach terytorialnych, jak i innych, nie mniej ważnych: ustroju przyszłych państw, stopnia ich samodzielności, stosunków finansowych i celnych między nimi, problemem obrony granic itd. itd. Ogłoszenie szczegółów pozbawi nas, rzecz jasna, wszelkich wątpliwości i ukaże proponowane państwo żydowskie w takim świetle, że uznamy wszyscy za właściwe walczyć o obalenie tej propozycji.

Jeśli zaproponują nam zły podział — rzecz zrozumiała, że się odpowiednio do tego ustosunkujemy. Ale jak się odnieść do propozycji „dobrego" podziału, oto zagadnienie, które jak się rzekło, budzi we wszystkich prawie nader mieszane uczucia. Nie ma dwuch zdań co do tego, że to nie to, czego chcemy i czego mamy prawo chcieć. Realizacja mandatu, aktywna, szczera i rzetelna, bez interpretacyj ścieśniających i bez praktyki wypaczającej literę i ducha zobowiązań międzynarodowych, oto, czego żądamy od Anglii od lat prawie dwudziestu i czego domagamy się i obecnie. To, co Anglia wzamian za to proponuje to nic innego, jak nowy rozbiór Palestyny, pozbawienie narodu żydowskiego, dalszej części tych skromnych możliwości, które mu Anglia przyrzekła, a 52 państwa zagwarantowały.

Prawa żydowskie do Palestyny zostały uznane międzynarodowo na podstawie związku historycznego żydostwa z tym krajem i konieczności, wynikających z sytuacji narodu żydowskiego w świecie. Propozycja podziału nie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak próbą zredukowania tych praw historycznych i międzynarodowych do praw faktycznych, opartych o realny stan posiadania narodu żydowskiego w Palestynie w obecnej chwili. Wiedzieliśmy zawsze, że ostatecznie zadecyduje o przyszłości Palestyny to, co zdołamy w niej stworzyć. Zdawaliśmy sobie sprawę ze znaczenia czynnika czasu. Ale mieliśmy prawo oczekiwać, że czasokres zakorzeniania się Żydów w Palestynie, czasokres mandatu nie urwie się tak nagle w połowie drogi, w chwili, gdy według najgłębszego naszego przekonania nie musiało do tego dojść.

Przyjaciele nasi z pośród Anglików odpowiadają na to: prawda, administracja angielska w Palestynie doprowadziła do kryzysu. Ale kryzys nastąpił i jest faktem. W obecnej sytuacji międzynarodowej, gdy Włochy ubiegają się o koronę obrońcy Islamu, nie jest Anglia gotowa wdać się w wielki krwawy zatarg z arabskim ruchem nacjonalistycznym w Palestynie, który — nie wdawajmy się w tej chwili w analizę, z czyjej winy, — doszedł w międzyczasie do znacznej siły. Problem nie przedstawia się w ten sposób: wykonanie mandatu czy podział Palestyny, ale raczej tak: podział Palestyny czy wyjałowienie mandatu, ograniczenia imigracji i zakupów ziemi, Rada Ustawodawcza i cały w ogóle zespół postanowień politycznych i administracyjnych, który unicestwi szanse wytworzenia większości żydowskiej w Palestynie i uspokoi tym samym Arabów.

Biorąc porównanie z innej dziedziny, możnaby powiedzieć: mamy w ręku weksel, ale dłużnik powiada, że nie może go płacić w całości. Proponuje to, co się w języku kupieckim nazywa „regulacją". Czy mamy wziąć część długu (dbając oczywiście o to, by była jak największa) i zwrócić weksel (bo likwidacja mandatu to właśnie takie zwrócenie weksla), czy też odmówić przyjęcia części, obstawać przy 100procentowej spłacie, czekać, aż wypłacalność dłużnika będzie lepsza, ryzykować zarazem, że stracimy i to, co teraz jeszcze można wydostać? Zapewne sytuacja międzynarodowa może się polepszyć, stosunki anglo - włoskie unormować, swoboda polityki angielskiej na Wschodzie wzrosnąć, sposób wykonywania mandatu może obrócić się znowu na naszą korzyść. Granice też nie są wieczne, ale bądź co bądź są trwalsze od ograniczeń ustawowych i określonego kursu polityki. To jest jedna strona medalu, ale jest i druga: trudno czekać, gdy 6 milionów żydów jest na progu ruiny; trudno zaryzykować przerwę we wzroście siły naszej w Palestynie, co jest jednoznaczne z jej osłabieniem, podczas, gdy świat cały, a obszar Morza Śródziemnego i Bliski Wschód w szczególności, są w stanie nieustannego wrzenia i ciągłych

(dokończenie na str. 5-tej).

Maks Tabak

„Pałomnyctwo do swiatoji Zemli"

(PIERWSZA KSIĄŻKA UKRAIŃSKA O PALESTYNIE).

Ukraińska literatura krajoznawcza w ogólności, a dotycząca Palestyny w szczególności, jest bardzo uboga.

Podczas gdy prawie we wszystkich językach świata ukazują się, zwłaszcza w ostatnich czasach, liczne opisy podróży po Palestynie i stosunków tam panujących (po polsku ostatnio praca Hanny Mortkowicz, po rumuńsku praca Gali Galactiona p. t. „W ziemi Obiecanej", po niemiecku Elzy Laskier-Schüler „Hebräerland", po angielsku Ladislava Faargo „Palestine on the Eve", po żydowsku Lejba Malacha „Reportaże Palestyńskie", Józefa Opatoszu „Podróż do Palestyny", Nachmana Majzla „Dni i noce w Emek" i wiele, wiele innych), to w języku ukraińskim prawie żadna książka z tej dziedziny dotychczas nie ukazała się.

To też należy z zadowoleniem podkreślić fakt pojawienia się książki ks. Dr. Josyfa ŚLIPYJA, rektora gr. kat. Duchownego Seminarium we Lwowie, p. t. „Pałomnyctwo do swiatoji Zemli", Lwów 1935., która dotyczy wprawdzie przede wszystkim pielgrzymstwa do Ziemi Świętej i miejsc świętych dla chrześcijan, która jednak ubocznie traktuje również o żydowskiej Palestynie.

W tym miejscu należy podkreślić, że opisy podróży do Palestyny, a to pielgrzymek ukraińców do tejże, zapoczątkowuje „Pałomnyk" przeora Danyła z pierwszych lat XII. w. (1106—1108), zwany powszechnie „Żytia i chożenia Danyła, ruskoji zemli ihumena". Najprawdopodobniej został „Pałomnyk" przerobiony z jakiegoś greckiego opisu i przez długie stulecia stanowił jedyny dla Ukraińców przewodnik po Palestynie, zwłaszcza począwszy od XV. w. Opis ten niejednokrotnie później był przerabiany, i przepisywany. W nowszych czasach wydano tę książkę kilkakrotnie drukiem.

Oryginalne opisy pielgrzymek do Palestyny, już nie oparte na „Pałomnyku" Danyła, ukazują się później w XVII., XVIII. i XIX. w. W ostatnich 30 latach ukazały się również podobne opisy pielgrzymek Ukraińców do Palestyny a to O. Bułki p. t. „Ruskie Pałomnyctwo do Swiatoji Zemli w r. 1906.", Kołomyja 1907„ oraz książka ks. ks. J. Dzerowycza i W. Maciuraka p. t. „Jak to Ruś chodyła ślidamy Danyła", Żółkiew 1907.

Należy tu również wspomnieć przewodnik ukraińskiego pisarza Petra Niszczyńskiego, pisany jednakowoż w języku rosyjskim p. t. „Putewodytel do Światoj Zemli", Odessa 1886, oraz ukraiński przekład książki Sven Hedina p. t. „Jerozolima". Oczywiście, że wszystkie książki o Palestynie, nawet te nowsze z XX. w., które wydane już zostały po rozpoczęciu w Palestynie kolonizacji żydowskiej, kwestii żydowskiej Palestyny w ogóle nie poruszały. I o tyle właśnie praca rektora Dr. Slipyja różni się od wszystkich wyżej wspomnianych prac.

Rektor Dr. Ślipyj odnosi się w swej książce w ogólności bardzo przychylnie do Żydów. Widok Żydów udających się do Palestyny, zdaniem Dr. Ślipija na niepewne jutro (czy nie o wiele pewniejsze niż tu w diasporze?), budzi w nim współczucie, widok zaś Żydów, modlących się przy Ścianie Płaczu respekt z pow. wielkiego przywiązania do Narodu, jego przeszłości i nadziei piękniejszego jutra.

Dr. Ślipij zapoznaje ukraińskiego czytelnika z formą żydowskiej kolonizacji, wyjaśnia system osadnictwa we formie kwuc, kibuców i moszawów owdim, podkreśla znaczenie kolonizacji żydowskiej w Emek i wyraża żal, że nie mógł odwiedzić kolonij żydowskich w szczególności Merchawii, do której specjalnie go zapraszano.

W dalszym ciągu podkreśla, że kolonie żydowskie, których liczbę ocenia na wyżej 100, są dziełem ruchu syjonitsycznego, który budził poczucie patriotyczne wśród Żydów i podtrzymywał nadzieję odbudowy Ojczyzny. Zachwyca go rozwój szkolnictwa żydowskiego, wspomina o Uniwersytecie hebrajskim, a jako duchowny ze szczególnym uznaniem podkreśla rozwój szkolnictwa religijnego organizacji „Mizrachi". Wyjaśnia znaczenie deklaracji Balfoura i funduszów Keren Kajemeth i Keren Hajesod, *przy czym zwraca uwagę, że fundusze zebrane przez te instytucje nie są w proporcjonalnym związku z wielkimi możliwościami finansowymi światowego żydostwa.* Ludność żydowska Palestyny ocenia na 100.000. — co oczywiście nie odpowiadało w owym czasie rzeczywistemu stanowi rzeczy ,a co też przy końcu książki drobnym drukiem jest sprostowane, mianowicie na liczbę 300.000. — A już nie do wybaczenia jest błąd dotyczący określenia i wielkości zaludnienia Tel-Avivu. Pisze mianowicie Dr. Ślipyj (stronica 29): „Po lewej stronie Jaffy na równinie rozłożyła się żydowska kolonia Tel-a-viv, (ma oczywiście być Tel-Awiw co znaczy pagórek wiosny). Liczy ona 3000 mieszkańców i ma samorząd. Istnieje tam żydowskie gimnazjum im. Dr. Herzla, założone jeszcze w roku 1906.".

Tyle w ogólności o Tel-Avivie. Wszak jak podkreśliliśmy, Dr. Ślipyj traktuje żydowską Palestynę ubocznie. Można to wybaczyć. Ale w roku 1934 nazwać Tel-Aviv, który już wówczas liczył około 100.000 mieszkańców, kolonią żydowską, w dodatku liczącą 3.000 mieszkańców, jest chyba jakąś fatalną pomyłką.

Niesłusznie ocenia Dr. Ślipyj stan etyczny niektórych kwuc nazywając go z powodu areligijności niektórych członków tychże, zastraszającym. Można mieć pewne obiekcje odnośnie do areligijności, gdy się jest religijnym, tym bardziej, gdy się jest duchownym. Ale nie można z areligijności pewnych członków kwuc sądzić o etyce tychże kwuc. Faktem bowiem jest, że etyka żydowskich osiedli palestyńskich, nie wyłączając kwuc i kibuców, poczucie miłości bliźniego i gościnności, które przecież są podstawami etyki, są bardzo wysoko rozwinięte, o czym autor byłby niewątpliwie przekonał się, gdyby był odwiedził osiedla oraz kwuce. Z licznych miejsc w książce wynika jednak, że autor czerpał swe informacje dotyczące żydowskej Palestyny od osób trzecich, w dodatku nie przychylnie ustosunkowanych do dzieła odbudowy żydowskiej Palestyny i stąd owe — że je tak nazwiemy — nieścisłości.

Mimo jednak usterki należy powitać książkę Dr. Ślipyja z uznaniem, jako pierwsze dzieło traktujące w ogóle w języku ukraińskim, jakkolwiek ubocznie, kwestię żydowskiej Palestyny. Miejmy nadzieję, że następna będzie wolna od podkreślonych przez nas usterek i dokładniej wyczerpie kwestię żydowskiej Palestyny.

Mieczysław Braun

Aleksander Kraśniański

(1900-1929)

Gdy dzisiaj piszę słowa wspomnienia o przedwcześnie zmarłym poecie Aleksandrze Kraśniańskim, już tylko nieliczni z pośród łodzian pamiętają jego nazwisko. Szybki bieg historii i brak w społeczeństwie powojennym pietyzmu dla twórczości poetyckiej, raczej dla tego rodzaju sztuki skłonność do pogardy, sprawiły, że pomimo talentu i zasług śmierć z zapomnieniem zawarły przymierze nad postacią młodego poety; kołowrót wydarzeń zdołał niejedno zgładzić w pamięci ludzi życzliwych; przypadek, przez niedbalstwo zachęcony, zawinił, że większa liczba rękopisów zginęła; wciąż niedostateczne środki materialne chętnych, próżne obietnice niektórych, wreszcie obojętność nakładców odebrały nadzieję na rychłe wydanie pośmiertne ocalonych jeszcze od zguby utworów. Tak po ośmiu latach od skonu poety wyglądają losy jego puścizny: są tu i ówdzie ledwie zachowane, przynależne do różnyh okresów jego krótkiego życia, w czułych albo obojętnych rękach — gdzieniegdzie — kartki, zeszyty, nawet rozproszone po kraju, coraz to bardziej luźne i niekompletne. Marzenie autora o własnej książce, niespełnione przecież za życia, pozostało do tych pór bez realizacji; wśród mnogich zbiorów, rzucanych każdego sezonu na rynki księgarskie, między cenionymi przez koneserów tomikami nie ma zamierzonego tomu „Wiolonczele i księżyc".

Kim by Kraśniański? Czym wyróżnił się w plejadzie młodzieńców piszących, których każde pokolenie ma niemal o setkę za wiele? Daleki od snobizmu modnisiów literackich pnących się na parnas kawiarniany w bengalskich ogniach autoreklamy, skłonny do samotności i zadumy, nie dbał o rozgłos; ledwie kilku zaufanym zwierzał się z trosk autorskich, czytał niewyschłe jeszcze rękopisy. Do szuflad, zapełnionych brulionami młodzieńczych utworów, nie mieli dostępu ci, co są pozbawieni wrażliwości na magię poetycką; perswazje przyjaciół, aby posyłał wiersze do redakcji dzienników, rzadko skłaniały go do drukowania. Mus wewnętrzny wystarczał, aby pisać, — czegoż więcej wymaga się od liryka?

Życie brutalnie obeszło się z młodym poetą, nie przebaczyło mu jego wrażliwości, nie znalazło zrozumienia dla cichej muzyki strof, ani łaskawości dla słabego oporu wrażliwej organizacji poetyckiej. Zagrodziły mu drogę kamienne przeszkody, obojętność, wyzysk i niewierność, których nie umiał przezwyciężyć, broniąc się na próżno melancholią i refleksją. Poezja, miłość i ciężar szarej codzienności to główne motywy jego życia. Miłośnikom poezji, szperaczom w dziejach kultury, wreszcie pamiętliwym współczesnym należy się, aby z pod zapomnienia wydobyte było to nazwisko; zmarłemu, — aby przetrwał w wierszach takim, jakim był: prawdziwym poetą. Z muzyki strof o rzadko spotykanej piękności odrysują znawcy profil artystyczny autora, z garści wspomnień ułożą obraz minionych dni, — wczesnej epoki powojennej na gruncie łódzkim, z niewygasłego czaru i wzlotów lirycznych, jak z kwiatów magnolii i jaśminu, uwija wieniec, — jak to u nas przystoi — poniewczasie, na czoło zmarłego poety.

Aleksander Kraśniański urodził się w Łodzi 5 maja 1900 roku w rodzinie żydowskiego komiwojażera rodem z Winnicy (na Podolu). We wczesnym dzieciństwie osierocony przez ojca, rósł w ciężkich warunkach życiowych pod opieką matki i siostry-nauczycielki. Lata chłopięce jego pokolenia przypadły na czas wojny światowej, czas powszechnych zbrodni i przemian. Łódź robotnicza od sierpnia 1914 roku na długo stała się obozem wojennym; pułki rosyjskie, bagnety, armaty i tabory ciągnęły po dniach i nocach przez wyludnione ulice. Fabryki zamarły, Łódź wstrzymała oddech. Szkoły zamieniono na szpitale dla rannych. Wczesny okres życia wypełniły komunikaty sztabu, odgłosy bitwy, panika, epidemia, głód. Młodzież zrozumiała straszliwą grę dorosłych. Oczy piętnastoletnich, których pozbawiono dzieciństwa, widziały broczącą w krwi granicę dwuch epok; na krawędzi stało widmo nieznanego jutra nad złowróżącą otchłanią czasów nowych.

Bombardowanie Łodzi przez Niemców zastaje Kraśniańskiego z „handlówki" (Szkoły handlowej) w gorączce tyfusowej w szpitalu im. Poznańskich, gdzie walcząc ze śmiercią, słyszy jęk rannych i huk pękających nad miastem granatów. Po długiej chorobie wraca do szkoły. Zaczynają się ciężkie lata okupacji niemieckiej. Chodziło się wtedy do szkoły o głodzie i chłodzie, żywiąc się zmarzłymi ziemniakami i zakalcem gliniastego chleba, sprzedawanego „na kartki". Młodzież szkolna dojrzewała w wylękłej atmosferze wojny; u progu młodości stały klęski, wyrzeczenia i przerażenia. Z gleby, zrytej granatami, unosiły się jednak marzenia górne i chmurne.

Powstawały w owym czasie organizacje skautowskie, chłopcy paradowali w szarych koszulach ze wstążeczkami, z odznakami pod chorągwią harcerską; maszerowały pierwsze zastępy, drużyny, hufce. Młodzież żydowska ze szkół polskich, wychowywana nie w powietrzu ghetta, lecz „Pana Tadeusza", czerpała siły moralne i poczucie piękna z „Dziadów", z „Kordjana", z Wyspiańskiego — w serdecznej łączności z Polską, dopiero dźwignięta do walk o niepodległość. Chłopcy, ożyni szczerym jak młodość porywem patriotycznym, ugruntowali w swych duszach niezłomną świadomość polskości, — nie znalazł się nikt wówczas, kto śmiałby temu zaprzeczyć. Widome spełnienie mickiewiczowskiego proroctwa o ojczyźnie, wyzwolonej podczas wojny ludów, przejmowało nadzieją i radością uczniów ze skautingu im. Tadeusza Kościuszki i z innych skautingów. Prócz ruchu harcerskiego porywały młodzież głębokie nurty socjalizmu, zaczynały się walki o przyszłość, opartą na zasadach sprawiedliwości społecznej. W owych czasach szkoła znała tylko propagandę nauki.

W świecie szkolnym Kraśniański zajął czołowe miejsce. Nieskory do suchej nauki, nie ciekawy trudnych zagadek trygonometrycznych zabłysnął śród kolegów i nauczycieli z talentu poetyckiego, któremu wróżono świetny rozwój. Ulubieniec dyrektora Klossa, z różnych stron zachęcany do pracy nad sobą, otoczony gronem kolegów, darzonych celującymi stopniami za wypracowania z literatury,, pisane przez Olka; rósł w przyjaznym klimacie; zalecany jako korepetytor dla młodszych uczniów, zarabiał lekcjami, których nie brakowało, i tak walczył z niedostatkiem.

Środowisko inteligentnej młodzieży szkolnej, wtedy nie znającej jeszcze hazardu sportowego i dyscypliny koszarowej, pielęgnowało ambicje książki i koncertu; w tym otoczeniu przeżył młody poeta chyba najpiękniejszy okres swego życia. Była to wiosna pierwszej miłości i pierwszych natchnień, wtedy na kartach ozdobnych albumów wypisywał oktawy poematu „Carmen amoris"; wtedy w parku im. Staszica najpiękniej pachniały krzaki bzu i kasztany, a po nocach śpiewały słowiki. Muza poezji szła pod księżycem fabrycznego miasta po przemienionych w tęcze kałużach ulicy Kamiennej, na której mieszkał wiele lat.

Niezapomniane nocne rozmowy przyjaciół! Mówiło się o nowej poezji, recytując z pamięci długie kolumny wierszy, a każda zwrotka budziła wzruszenie i zawyt **niewysłowiony; mówiło** się o odnowicielskiej fali romantycznego futuryzmu, otwierającego sezamy artystyczne. Za uzbierane przez przyjaciół pieniądze ukazał się wtedy (1919 r.) jedyny numer pierwszego w Łodzi czasopisma literackiego pod nazwą „Tańczący ogień". Do składu redakcji prócz Kraśniańskiego i piszącego **te słowa należało** jeszcze kilku zapaleńców.

Tak rodziła się poezja — bez programów, śród burzy i naporu, jak duch, który wionie, kędy chce... Z owymi zamierzchłymi już czasy związana jest na zawsze sylwetka młodego poety o ciemnych oczach, pełnych semickiej zadumy, w maciejówce na bakier, w pelerynie, z logarytmami i nowym tomem Staffa pod pachą. Nie była to ani bohema, ani poza byroniczna, ale źródło samorodne liryki, świadome swego osamotnienia. Skąd tryska źródło, z którego czerpią poeci? Jedni z gleby, przepojonej krwią milionów, inni z pragnień umęczonych mas, z żaru własnego sumienia. Niektórzy — z woni jaśminu, z poświaty księżycowej, z upojnych dźwięków wiolonczeli, z nietutejszej tęsknoty za pięknem.

Rok 1920 powołał pod broń najmłodsze roczniki; z ławek szkolnych wyszła armia ochotnicza. Wkrótce po apelu Naczelnika Państwa Kraśniański wstępuje do kadry kolejowej. Zapał patriotyczny sięga zenitu, nieostudzony w młodych sercach tragicznym zgrzytem wypadków lwowskich 1919 roku.

Poczucie wolności, wniesione przez niepodległość, która przekreśliła ograniczenia dotyczące ludności żydowskiej pod panowaniem caratu, tysiączne węzły wzajemnej przyjaźni i współżycia bez cienia złowrogich podziałów, wytworzyły w pokoleniu najmłodszych żołnierzy spójnię wewnętrzną.

Dalszy rozwój wypadków w kraju sprzyjał już innym nastrojom; na mosty między sercami młodzieży natarła fala nienawiści, rozdzierając społeczeństwo na dwie części i niezliczone przyniosła ze sobą krzywdy; odrębność losów żydowskich wywołała odrębną świadomość. Nie obyło się bez konfliktów i rozgoryczenia, była to jednak sprawa nieco późniejsza.

W czerwcu 1920 r. Kraśniański przyjmuje religię katolicką w parafii św. Józefa w Łodzi. Ciężkie doświadczenia, jakie następnie przypadły w udziale jego pokoleniu, sprawiły, że po paru latach już głośno marzył o wyjeździe do dalekiej Palestyny.

Powrót na ławę szkolną zakończył epopeję wojenną. Przyszła wreszcie matura. Życie powojenne potoczyło się po wyboistej drodze, pełnej kontrastów i zawiedzionych nadziei. Szerokie wpływy uzyskali zbogaceni na wojnie parweniusze, a jednocześnie nędza mas wzrosła bezgranicznie. Z tego okresu pochodzi mocny wiersz p. t. „Artystom", tak zakończony:

„A zasię, tłusty burżuj, zadufany w sobie,
Znający się na sztuce, by wół na klejnotach,
Przed objawianym Pięknem w zwisły kark się skrobie
(Jakże doń wszystko w podłych miażdży się zalotach!)
Aż ciśnie garść banknotów łapą swą mięsistą
Tobie, któremu w nędzy zdawna twarz wybladła,
I ozdobi twe dzieło, szczęśliwy artysto!
Ordynarną sypialnię paskarskiego stadła!..."

W tych warunkach normalne studia uniwersyteckie napotykały na nielada trudności. Kraśniański, zapisany na wydział Prawa w Warszawie, przez pewien czas pracuje w stołecznej P. K. O., dla braku mieszkań ulokowany w Milanówku. Pisze wtedy wiersze owiane cichym smutkiem prowincji.

„Zimowe zmierzchy śnieżne. Na serca cichutko
Kładł się czar niewysłowny wiejskiego ustronia.
Przy lampie — ty, nad jakąś schyloną robótką,
I ja nad książką wierszy kochanych Lechonia.
Ach, długośmy tak nie raz samotni siedzieli,
Gdy w noc się gwiezdną smętna chyliła szarówka,
A wkoło cisza... cisza w liliowej pościeli
Miękkich śniegów śpiącego słodko Milanówka.

W wierszach jak w pamiętniku utrwalał przeżycia i wspomnienia:

„Taki w zamiejskiej willi pokoik niewielki
Codzień rękoma twemi sprzątamy troskliwie:
Storoświeckie, skrzypiące żałośnie mebelki,
Wśród których tak nam dobrze było i szczęśliwie.
Takie wszystkie kochane panieńskie drobnostki,
Co duszę hymnem szczęścia owioną znienacka.
Poduszeczki, wstążeczki, dziergane ślicznostki,
Porcelanowe śmieszne na stoliczkach cacka.
Na krzesłach sztywne, świeżo uprane sukienki,
Słodko tobą pachnące i ciepłym żelazkiem,
O zachodzie skroś ażur firankowy cienki
Słońce ściany wiśniowym malowało blaskiem...

A w miasteczku było tak, jak w tym wierszu:

„U nas w miasteczku jak zwykle
Nie wiele zmian: co niedziela
Przed sądem i przed ratuszem
Gra policyjna kapela.
Ja w kącie z panem majorem
Gawędzę o tem i o owem
I Baczewskiego likierek
Popijam starym narowem
Codziennie pisuję wiersze
Pełne tęsknoty i smutku,
Gram długo na pianinie
Lub astry zrywam w ogródku..."

Jeździł codziennie do biura. I wtedy żalił się w wierszu:

„Jesteś sławny i zamożny
I po świecie chodzisz w glorji,
A ja jestem urzędniczkiem
Jedenastej kategorji.
Do urzędu państwowego
Chodzę codzień wczesnym rankiem
W swym paletku wyświechtanym
W meloniku ze śniadankiem.
W biurze siedzę w pałąk zgięty
I prowadzę duże księgi,
Piszę czysto i uważnie
Dzieje gorzkiej swej mitręgi.
Ach, bo każda z tych literek,
Arcydzieło kaligrafji,
Dużo, dużo o mej męce
Opowiedzieć ci potrafi...

I tylko jedno pocieszenie, gdy w tęsknocie za przyrodą ucieka od miasta.

„Wiesz, mam jeden zwyczaj dziwny
I przestrzegam go najściślej:
Prosto z biura krokiem smętnym
Schodzę na dół na Powiśle..."

Tam powstawały bezpośrednie liryki o sobie:

„Ach, i ja pisuję wiersze!
Alem je przed światem schował,
Bo któżby się gryzmołami
Tak nędznymi dziś zajmował.
Wiersze słabe, blade, smętne,
Jak świat stare i banalne,
Zbyt liryczne, romantyczne,
I tak mdło sentymentalne.
Powędrują chyba ze mną
Do sosnowej prostej trumny...
Dla mnie jeno biuro, księgi
I tych strasznych cyfr kolumny.
Bo nie tobie biuralisto
Poetyckie śnić wiktorie,
Kontent bądź, że świat ci nadał
Jedenastą kategorję!"

Porzuca posadę w P. K. O. i wraca do Łodzi, tu otrzymuje zajęcie w redakcji wieczorowego pisma, jednocześnie prowadzi na spółkę z kolegami agencję prasową. Pisze felietony, sprawozdania sądowe, ulotne wierszyki; w piśmie Kokorzyckiego „Wolne Żarty" drukuje dla zarobku utwory liryczne pod pseudonimem „Pierrot", ulegając z konieczności wymaganiom redakcyjnym.

Upływają lata wyczekiwania, siły się wyczerpują. Oddany ciężkiej pracy zarobkowej uczy się jednocześnie i składa szereg egzaminów na uniwersytecie. Nie znajduje szczęścia w krótkotrwałym małżeństwie, rozgoryczony i zaniedbany, stroni od ludzi, nie bierze udziału w bujnym wtedy życiu literackim stolicy.

Pisze coraz bardziej smutkiem przejmujące wiersze i zachowuje je w rękopisach.

„Sksiężycowiały pan, romantyk,
Czarodziej mądry, uśmiechnięty,
Pomiędzy wami żyję — antyk,
Jak noc miesięczna — niepojęty.
Trubadur błędny, ach! fantasta,
Lirycznych śnień wielbiciel smętny..."

I świadom swej poetyckiej siły, mówi:

„Poetą jestem z krwi i kości,
Poetą ojciec był i dziad,
Śpiewać ich uczył step słoneczny,
Miesięczna noc, wiśniowy sad!
A ja te wszystkie cudowności
W sercu swym noszę, wolny ptak,
I piosenkami cały kwitnę,
Jak w sercu róż ognisty krzak!"

Ale życie i gruźlica czynią postępy. Jeszcze opieka, ratunek i pomoc mogłyby przedłużyć tułaczkę poety po obojętnym świecie, ale próba ratunku przychodzi za późno.

Chory już zbyt ciężko, wyjeżdża do Zakopanego, aby tam dnia 7 stycznia 1929 dokonać życia w zupełnym osamotnieniu.

Na cmentarzu zakopiańskim w pobliżu gór można odnaleźć zapadły grób Aleksandra Kraśniańskiego.

Liryka Kraśniańskiego stanowi przejaw uczuć osobistych, powstałych na tle kontrastów, w które obfitowało życie młodzieży wojennej. Romantyzm ze wszystkimi akcesoriami, tradycja poezji Słowackiego, indywidualizm Staffa i świeży wpływ autora „Nocy Listopadowej" i „Wesela" zderzyły się z potęgą wypadków historycznych i usunięte zostały na ostatni plan subiektywnego odczuwania. Stąd — rozdarcie wewnętrzne, nieukojona tęsknota zawiedzionej za wcześnie i rozczarowanej młodości.

Skłonność do marzeń, pragnień obcowania z przyrodą, szczególne zamiłowanie do egzotyki, będące usiłowaniem ucieczki od życia i jego problematów w krainę fantazji, uderzyły kontrastem w twarde warunki bytowania wśród murów brudnego miasta fabrycznego czasu wojny. Liryzm Kraśniańskiego to żal i smutek czułej jednostki w społeczeństwie, pochłoniętym walką i dalekim od szukania subtelnych konturów duszy poetyckiej; zaostrzająca się walka klas i rosnące na jej tle antagonizmy narodowościowe zostawiły młodych inteligentów na uboczu, dając im poczucie osamotnienia.

W ostatnim okresie twórczości Kraśniański z romantyzmu często przechodzi w przesadny sentymentalizm, obracając się wciąż w zaczarowanym kole życia osobistego. Nie unika nieraz łatwizny; zachęcony niewybrednym powodzeniem wierszyków erotyczno - sentymentalnych, pisze ich coraz więcej; mimo to, potrafi zdobyć się na mocny wyraz uczucia. Przypomina nieco analogicznego poetę starszego pokolenia, Feliksa Przysieckiego. Nowatorskie prądy poezji rosyjskiej nie dotykają Kraśniańskiego, działa na niego tylko czułostkowy Siewieranin w utworach mniejszej wagi.

Pod względem formy wiersze Kraśniańskiego są wykwitem polszczyzny; unika modnych już wtedy igraszek słownych i sięga do podstaw emocjonalnej mowy polskiej, korzystając ze zdobyczy Żeromskiego. Poetyka Kraśniańskiego wywodzi się z najlepszych wzorów Młodej Polski, nieraz jest od nich bardziej muzykalna i ironiczna. W jego poezji prostota i szlachetność tonu łączą się z siłą wzruszenia: świeżość barw i oczywista szczerość tchną nieodpartym czarem.

Aleksander Kraśniański był poetą dla siebie i dla nielicznych. Jego postawę duchową określają słowa rzewnego wiersza:

„Jest ze mną bór i błękit nieba
I pszenicznego łanu szmat,
Więc czegoż więcej mi potrzeba,
Gdy już zapomniał o mnie świat?"

Dr. Filip Friedman

„Tchumim"

Ruch hebrajski w Polsce zdaje się wstępować w fazę pewnego ożywienia. Niedawno rozpoczęła się żywa akcja w kierunku stworzenia codziennego pisma hebrajskiego w Polsce. Równocześnie odnowiło swą działalność zasłużone i niegdyś bardzo u nas ruchliwe wydawnictwo Sztybla. Wreszcie w ostatnich dniach ukazał się pierwszy numer czasopisma hebrajskiego „Tchumim" (Granice), który redakcja prezentuje nam jako kwartalnik, mający być trybuną dla wszystkich, którzy chcą się wypowiedzieć w języku hebrajskim, bez różnicy przekonań i przynależności partyjnej. Jakaś cicha nuta rezygnacji idzie ku nam z krótkiego i jędrnego przedsłowia redakcji. Czy pismo będzie długo istnieć i utrzyma się na długo? — pytają redaktorzy, i natychmiast pada pełna melancholii odpowiedź: całe nasze życie w diasporze jest życiem z dnia na dzień, Niewiadomo, co przyniesie dzień jutrzejszy. Wyższa racja naszego bytu każe nam czynić wysiłki i napiąć wolę — tworzyć dobra kultury i je znów z ruin odbudowywać — tak długo — jak długo jeszcze — —

Kwartalnik „Tchumim" przedstawia się okazale. Jest to wielki tom, dużego formatu, o bezmała 150 stronicach druku, zawierający trzydzieści kilka prac rozmaitych autorów, w tym wiele utworów większych i essayów. Przeważają prace publicystyczne i naukowe, mniej licznie jest zastąpiona krytyka literacka, najmniej znajdujemy w zeszycie pierwszym beletrystyki. Żywości i aktualności dodaje czasopismu umiejętnie zredagowana rubryka „drobiazgów" (Kaw la kaw" — co w wolnym przekładzie brzmiałoby po polsku mniej więcej: „ziarnko do ziarnka") oraz rubryka jubileuszowa.

Zeszyt rozpoczyna się od artykułu Dra N. Ecka, który przeprowadza ciekawe analogie między tymi pojęciami jako zjawiskami o wręcz odmiennym ciężarze gatunkowym i odmiennych skutkach. Stosunek żydostwa diaspory do Palestyny maluje autor w zbyt ciemnych kolorach. Ale nie tylko treść artykułu stanowi o jego wartości. Przykuwa czytelnika subtelna analiza pewnych zjawisk społecznych zaś język tego dbałego o formę niestety rzadko pisującego stylisty — spotka się napewno z uznaniem miłośników i znawców mowy hebrajskiej. Obszerne studium Malkiela Lusternika o A. D. Gordonie, pisane językiem jędrnym i bogatym, jest poniekąd rozszerzeniem i pogłębieniem studiów nad Gordonem, które autor wydał w r. 1935 w języku polskim (M. Lusternik: Gordon. Człowiek i myśliciel. Warszawa 1935).

Namiętną polemikę wywoła zapewne na łamach prasy bardzo ciekawe i oryginalne studium socjologiczne Dra A. Tartakowera o językach narodu żydowskiego. Pierwsza to u nas próba tego rodzaju. Nie chcemy w tej chwili przesądzać wyników dyskusji, która się prawdopodobnie nad tą sprawą rozwinie, ani też w ramach niniejszej krótkiej recenzji tej dyskusji inicjować. Stwierdzamy tylko, iż Dr Tartakower rzuca w swej pracy cały szereg myśli i problemów socjologicznych i historiofizycznych, które należałoby — jak to autor kilkakrotnie zaznacza — naukowo opracować i zbadać w ogniu dyskusji.

W sprawach poruszonych przez Dra Tartakowera winni zabrać głos nie tylko socjolodzy, lecz również prezdstawiciele innych nauk humanistycznych jak np lingwiści, historycy, psycholodzy itd. — Praca Dra E. Steina z zamierzchłej epoki hellenistycznej (Trylogia historyczna w epoce drugiej świątyni") nabiera posmaku aktualności w dzisiejszych czasach i rumieńców życia dzięki umiejętności autora żywego i plastycznego opisu. Wybitny judaista opowiada nam (w pierwszym zeszycie zamieszczono tylko pierwszą część pracy) o pierwszych prześladowaniach Żydów Rzymie (r. 19—31 po Chr.) i w Aleksandrii i o walce słynnego filozofa żydowskiego Filona z Aleksandrii przeciwko żydożercom i żydoznawcom rozmaitego autoramentu. — Ciekawą dłuższą rozprawę o książce i o gazecie, „apologię dziennikarstwa" wedle słów własnych autora, zamieszcza J. Czesler.

Dużo miejsca poświęcono dwum tegorocznym jubilatom. O Jicchaku Kacenelsonie piszą J. Warszawiak i H. L. Żytnicki. Dramat Kacenelsona „Ammon" — o ile sądzić można z pierwszego aktu ogłoszonego w „Tchumim" — należy do najlepszych utworów tego popularnego poety. O Jakóbie Leszczyńskim pisze dr. F Friedman, sam zaś Leszczyński przemawia do nas z trybuny „Tchumim" w krótkim artykule o współczesnym kryzysie narodu żydowskiego na tle sytuacji międzynarodowej. Zamykają numer ciekawe recenzje (pióra dra N. Ecka, Dr. I. Osterzetzera, dra Benszaloma, Trietla, Luftfelda) oraz impresje i drobiazgi (S. I. Imbera o Natanie Birnbaumie, Dr. W. Falleka o B. Shawie, Benszaloma o egzegetycznej przesadzie niektórych „bialikologów", Dra Kamienieckiego. B. Fabriego i in.)

Na zakończenie wspomnę jeszcze o pięknie prezentującym się, bogatym dziale poezji (wiersze Arona Celtlina, M. Pomeranca, J. Rozencwajga, S. D. Bukina i innych, tłumaczenia wierszy Puszkina i tłumaczenia z poezji żydowskiej). Dopełniają całości nowele J. Warszawskiego i Daniela Kona, osnute na tle życia i przeżyć lekarzy (Choromański. Choromański!) Wspomnieć należy. iż w zeszycie pierwszym są reprezentowani jedynie pisarze hebrajscy z Polski.

Redakcji należy się uznanie za tak udany zeszyt pierwszy — bardzo estetycznie wydany — i życzyć powodzenia w dalszej pracy. Niewiadomo dlaczego — czyżby przez zbytek skromności — redaktorzy ukryli się zupełnie przed okiem czytelnika. Nie masz w całym zeszycie wzmianki o składzie osobowym redakcji. Nie czuję się upoważniony do złamania tego incognita. lecz wolno wyrazić życzenie, by w dalszych numerach skład redakcji. a zwłaszcza kompetencje redaktorów poszczególnych działów (literatura piękna, krytyka. nauka i publicystyka) były ściśle określone i rozgraniczone.

Roman Brandstaetter

A MOŻE PAN TEŻ — OWSZEM?

Kultura europejska nie zaczyna się ani nie kończy się nad Wisłą. Wiedział już o tym sam Mickiewicz, gdy pisał o warszawskich rogatkach. Mecenatto Kowalski to jeszcze nie — kultura. Jules Romains nie zna Kowalskiego, ani Kowalski nie wie kim jest Jules Romains. Tak powinno być. Il grando duce Doboszyński jest prorokiem tylko na myślenickim szlaku. Dwunastu sędziów przysięgłych zwalnia domorosłego hetmana od winy i kary. Ale światowy zjazd Pen-Clubów wie, że Doboszyński podpalił — bóżnicę. Światowy zjazd Pen - Clubów nie zna techniki podpalania bóżnic. W mentalności „A. B. Cezarów" ś. p. Kędziora jest ofiarą żydowskiego spisku. Wiec — odruch. Światowy zjazd Pen-Clubów wie natomiast, że funkcjonariusz policyjny ś. p. Kędziora padł ofiarą młodocianego opryszka. I już. Światowy zjazd Pen - Clubów nie dzieli opryszków na żydów i nie-żydów. Dlatego Jules Romains mówił o pogromie. Pogrom! Z akcentem na zgłosce pierwszej od końca. Z francuska. W francuskim bowiem języku nie istnieje słowo na określenie — pogromu. Szczęśliwy naród!

Nie chciałbym być zatem w skórze p. Parandowskiego, biorącego udział w Kongresie Pen - Clubów w Paryżu. Wściekle ciężka sytuacja. P. Parandowski powojażował na zjazd jako reprezentant polskiej kultury narodowej, jej wyraziciel, ambasador, nunciatore i delegato. Przeto p. Parandowski reprezentował prawdopodobnie w wszechświatowym parlamencie literackim, kulturalne imperium Mickiewicza — a nie Mackiewicza, Orzeszkowej — a nie Prystorowej, Wyspiańskiego — a nie Gałczyńskiego. I nic nie byłoby w tym dziwnego, gdyby tylko tę kulturę reprezentował p. Parandowski. Bo z tamtą do europejskich gości pchać się nie można. I nie należy.

Każdy normalny naród posiada dwie kultury: kulturę i podkulturę. Kongres Pen - Clubów stoi na stanowisku, że kultura jest odpowiedzialna za — podkulturę. Etycznie i historycznie. Jak poważny ojciec za małoletniego rozbrykanego synalka, hultaja, mąciwodę, obwiesia. Przeto, gdy p. Parandowski zjawił się na kongresie Pen-Clubów, literaci europejscy świadomi wypadków zaszłych w Przytyku, w Mińsku, w Brześciu, w Częstochowie itd., zainterpelowali polskiego delegata, co też czyni kultura polska dla zwalczania — podkultury. Dr. Steinberg wygłosił płomienną mowę. Spokojną, zrównoważoną i mądrą. Mówił:

Pen-kongres pozostał dzisiaj jedną z nielicznych trybun na świecie, gdzie my, Żydzi możemy występować ze skargami i żądaniami. Jeśli z tej trybuny rozlegnie się głos protestu przeciwko moralnym i fizycznym prześladowaniom Żydów to Kongres spełni doniosłe zadanie. W naszym czasie, gdy w wielu krajach panuje drapieżne barbarzyństwo, gdy Żydzi są uciskani i prześladowani, rzeczą najprzykrzejszą jest, że Europa milczy. Był niegdyś czas, gdy przeciwko takim uciskom rozlegał się głos pisarzy znakomitych w rodzaju Zoli lub Tołstoja. Obecnie nie mamy Zolów i Tołstojów, więc musimy posiadać przynajmniej zbiorowego Zolę, którym jest Pen-kongres.

Wstrząsające wrażenie sprawiają szczególnie ostatnie wydarzenia w Polsce. Tu w Paryżu w wieku 19-tym mieszkały najpiękniejsze duchy polskie, które walczyły o wolność ojczyzny W swej walce znajdywały one sympatie wszystkich wielkich umysłów świata, a obecnie w wyzwolonej Polsce stale wydarzają się zajścia antyżydowskie. Nie możemy i nie wolno nam przemilczać tego z tej trybuny. Kilka tygodni temu w Brześciu bito i rabowano ludność żydowską. W ostatnich dniach bito i rabowano w Częstochowie, w wielkim ośrodku Polski. Z bólem stwierdzamy, że inteligencja polska milczy, gdy bandy chuliganów srożą się i pogromują Żydów.

Z trybuny miasta wolności — Paryża zwracamy się do kolegów polskiego Pen-Klubu: w waszych rękach znajduje się prasa w Polsce. Macie wielki wpływ na opinię publiczną, podnieście wasz głos protestu i oburzenia przeciwko chuligańskim gwałtom wobec Żydów. Nie dopuszczajcie, by na wszechnicach polskich, które spełniają doniosłą rolę naukową, studenci żydowscy byli spędzani z ławek. Koledzy z polskiego Pen-Klubu! Niech rozlegnie się głos protestu przeciwko tym haniebnym czynom! Kwestia żydowska nie jest obecnie już tylko problemem samych Żydów, lecz całej ludzkości. Niech to będzie przestrogą dla inteligencji w Polsce. Niemcy rozpoczęły od dzikiej walki z Żydami, a skończyły na tym, że zostały wykreślone ze wspólnoty wolnych i kulturalnych krajów. Miejcie odwagę, koledzy z polskiego Pen-Klubu! Spełnijcie swój obowiązek!

Helleński hebrejczyk Czernichowski poparł żydowskiego Demostenesa. Cały kongres Pen - Clubów, jak jeden mąż wypowiedział się przeciw Brześciom w środkowej i wschodniej Europie. Rozkoszna geografia! Kongres powziął następującą rezolucję, odczytaną przez Jules Romainsa:

Piętnasty Kongres międzynarodowy Pen-Klubów, zebrany w Paryżu, podnosi energiczny protest przeciwko prześladowaniom, stosowanym w niektórych krajach Europy wobec mniejszości kulturalnych i narodowych, a w szczególności przeciwko fizycznym i moralnym prześladowaniom żydowskich mas ludowych, w krajach, gdzie panują lub są przygotowane specjalne ustawy przeciwko narodowi żydowskiemu.

Jesteśmy przekonani, że te prześladowania narażają na niebezpieczeństwo nie tylko godność moralną i wolność duchową narodu żydowskiego, lecz zarazem zagrożona jest godność i wolność wszystkich ludzi.

Piętnasty Pen-Kongres apeluje do wszystkich swych centrów i do wszystkich swych pen-oddziałów i zobowiązuje ich, by użyły wszystkich środków, celem przeciwstawienia się polityce wytępieńczej i oszczerczej, która podkopuje elementarne zasady cywilizacji ogólno-ludzkiej.

A p. Parandowski?

P. Parandowski zalgał przed forum światowego sejmu literackiego tragedię żydostwa polskiego! Stwierdzamy to z naciskiem! Zalgał nie dlatego, że dla tych czy owych celów starał się wstydliwie zbagatelizować wyczyny wodzirejów podkultury w Polsce. Winą p. Parandowskiego jest, że ukrył faktyczny stan rzeczy, panujący w polskich sferach kulturalnych, intelektulanych i literackich. Pan Parandowski, w odpowiedzi na postawiony mu zarzut, że polska literatura zachowała się indyferentnie wobec nawały polskiego antysemityzmu, — oświadczył wykrętnie, że poszczególni literaci polscy protestowali przeciw ideologii antysemickiej! P. Parandowski powiedział:

— Fakty ,które opisał tu p. Steinberg są skomplikowane. Nie możemy się tu wdawać w dyksusję nad nimi. Nieprawdą jest, że inteligencja polska nie reagowała. Odpowiedziałem już przed rokiem na Pen-kongresie w Buenos Aires z powodu mowy Lejwika. Zapewne, że są pisarze polscy, którzy nie wtrącają się do polityki, ale byli i tacy, którzy protestowali. Nie chcę tu przytaczać ich nazwisk, bo one wam nic nie powiedzą.

Powołaniem się na sporadyczny protest kilku literatów polskich, chciał p. Parandowski zakneblować usta tych, dla których haniebna sprawa Brześcia nie jest tylko kwestią pustej — interpelacji. Niestety, nie powiedział p. Parandowski, że ta drobniutka garsteczka literatów (zliczyć ją można na palcach jednej ręki), która odważnie wypowiedziała się przeciw hańbie antysemityzmu, nie posiada w narodzie żadnego posłuchu i jest na równi z żydami pomiatana i dezawuowana przez obozy „bogoojczyźniane"! Zapomniał powiedzieć p. Parandowski, że szlachetny Strug nic nie może, że jedno słowo jakiegoś posła Bakona bardziej jest cenione od narodowej ewangelii Mickiewicza! Nie powiedział p. Parandowski, że ci literaci, na których stanowisko powołał się on wielkodusznie na kongresie, jako szlachetnych odkupicieli polskiego antysemityzmu — są w kraju uważani przez ogromną większość, właśnie z powodu swojego anti - antisemickiego stanowiska, za wrogów „kultury narodowej" i są obrzucani pomyjami wyzwisk przez niejednego członka polskiego Pen - Clubu.

Czyżby więc nie orientował się p. Parandowski, ze czterechsetletnia literatura polska, obarczona wielkim i dostojnym dziedzictwem Mickiewicza i Orzeszkowej, dziś w obliczu antysemityzmu godzącego w podstawy Państwa — nie umie stanąć na wysokości swego zadania i odważnie manifestować przeciw żydożerczej ohydzie? Dlaczego zatem w Paryżu nie wspomniał p. prezes polskiego Pen-Clubu o głuchym milczeniu polskich związków literackich, grupujących wszystkich literatów polskich? Dlaczego też nie raczył wspomnieć o rzuconej w naród idei „samoobrony kulturalnej?". Dlaczego? Dlaczego? — pytamy!!! Dlaczego ukrył pan przed literacką Europą, że żyd polski piszący po polsku, uważany jest przez niejednego z członków zacnej Akademii i niejednego członka zacnego polskiego Pen - Clubu za szkodliwy miazmat i zakałę polskiej kultury!!! Dlaczego nie wspomniał pan Duhamelowi, że pańscy żydowscy koledzy po piórze są błotem obrzucani w Polsce tylko dlatego, że są — żydami! Dlaczego nie wspomniał pan Mauriacowi i Claudelowi, że katoliccy pisarze polscy w rodzaju pani Szczuckiej, milczą, gdy w Brześciu nad Bugiem motłoch każdym uderzeniem pięści przeczy wielkiej idei miłości, która zrodziła się pod niebem żydowskiej Galilei! Dlaczego nie wspomniał pan Peul Valery'emu, że do Funduszu Kultury Narodowej żydzi mają dostęp zamknięty! Może Pan się wstydził? Jeżeli tak, to trzeba się do tego dziś przyznać!!! Bez obsłonek, bez obłudy i perfidii! To rehabilituje człowieka!

A może woli pan milczeć? I utopić upiora pogromu brzeskiego w filiżance czarnej kawy przy stoliku w „Ipsie?". W dobie arcykulturalnej „samoobrony kulturalnej" po szczerym wypowiedzeniu się po stronie ludzi pokrzywdzonych — często idzie się w odstawkę, precz od złobu, w niełaskę. I wówczas trzeba z wielu zaszczytów zrezygnować. Nawet może z prezesury Pen - Clubu polskiego i z niejednego przywileju. Trudny wybór. Nieprawdaż?

A może pan też — owszem?

Leopold Gajzler

Naturalizm Emila Zoli

W 50-lecie „Ziemi"

Pojawienie się naturalizmu wywołało w swoim czasie powszechne oburzenie. Utworom naturalistycznym odmawiano racji bytu, autorów zaś obrzucano obelgami i wróżono im bliski, a niechybny upadek. Stało się jednak inaczej. Wróżby nie ziściły się. Po próbach symbolizmu i impresjonizmu, po próbach pompatycznego, deklamacyjnego samozatracania się i dekadencji wracamy do reguł estetyki naturalistycznej. Bo też inaczej stać się nie mogło.

Zrozumiał i przewidział to Ludwik Desprez („Evolution naturaliste. Paris 1884), który tłumaczył, że prądy w literaturze zmieniają się równolegle z prawami rozwoju społeczeństw. W społeczności zaś drugiej połowy 19-go w. odbywał się przelew władzy z rąk liczby małej, w ręce liczby wielkiej i wraz z tym rozszerzał się przystęp do czytania.

Przyczyny? Przyczyn nie brakło i są wszystkie dobrze znane. A więc przede wszystkim popularyzowanie skrajnych doktryn ekonomicznych. Lud francuski zaczął się głośno domagać wyzwolenia ekonomicznego pracy z pod przewagi kapitału, równości, polegającej na równym zaspokojeniu potrzeb wszystkich obywateli i wreszcie zaczął się domagać prawdziwego braterstwa. Lud francuski żądał prawdziwej rzeczypospolitej, nie zaś półrzeczypospolitej. Zwalczał burżuazję, która składała się z czterech stanów: 1) z bankierów i giełdziarzy, 2) przemysłowców, 3) rentierów i kupców, którym zwykle nadawano ogólne miano episyerów (epicier — kupiec korzenny) i 4) przedstawicieli biurokracji. Wszystkie te cztery stany czuły nieprzezwyciężony wstręt, głęboką nienawiść do ludu i jednocześnie do prawdziwej inteligencji: do literatów i artystów. Jedynym marzeniem panów „bourgeois" były tytuły i o ile mogli przekształcali się na baronów lub przynajmniej przyprawiali „de" do swych nazwisk.

Proletariat coraz bardziej uświadamiany zaczął z jaknajwiększą bezwzględnością zwalczać burżuazję, domagając się zmian ustrojowych i wreszcie uzyskał prawo powsechnego głosowania. Był więc czas najwyższy przyjrzeć się tej „klasie" — poznać ją bliżej. Wskutek szybkiego rozwoju proletariatu staje się nędza robotników kwestią, którą interesuje się cały świat. Koniunktura czasu domagała się więc wprowadzenia tego tematu do literatury. I uczynili to w r. 1864 bracia Goucourtowie w swej powieści „Germinie Lacerteux". Jest to rok powstania powieści naturalistycznej według doktryny naturalistycznej w najściślejszym znaczeniu. Powieść ta należy do epoki przełomowej realizmu (Flaubert) i naturalizmu. Goncourtowie zsyntetyzowali w swoim dziele powieść socjologiczną Balzaca, metodę drobiazgowych informacyj Flaubrta, unikając jednocześnie romantyzmu Balzaca i poetyzowania Flauberta. Są oni pierwsi, którzy zapoczątkowali świadomie powieść naturalistyczną, t. zw. „romans Locumentaire". Pierwsi rzucili hasło ścisłego badania faktów i sytuacyj na podstawie dokumentów. Pierwsi uczynili bohaterem powieści jednostkę z „klasy niższej" — dali obraz proletariatu miejskiego w całej swojej prawdzie. Autorom chodziło przede wszystkim o analizę obiektywną i szczerą problemów, dotychczas w literaturze przemilczanych. W liście do Zoli piszą, że kładą w tej powieści główny nacisk na „prawo do prawdy współczesnej" („le droits a la verite moderne), na prawo „do palących kwestii, które wstrząsają nerwami i krwawią serce".

W chwili ukazania się „Germinie Lacerteux" Zola lawirował jeszcze między romantyzmem a realizmem, określonej metody tworzenia nie miał. Książka Goucourtów budziła w nim entuzjazm.

Dotychczas nikt prawie nie wiedział o skromnym dziennikarzu z Evénementu" i z „Figara". Jego krótkie nowele, pisane pod wpływem George Sand, V. Hugo i Musseta nie rokowały mu talentu. Dopiero w roku 1865 zwróciła na siebie uwagę jego obrona powieści Goncourtów i napisana w dwa lata później „Teresa Raquin". Odtąd stał się Zola największym bojownikiem i najśmielszym teoretykiem nowego prądu literackiego.

Zola starał się włączyć do swoich powieści wszelkie teorie i hipotezy przyrodnicze. Uganiał się za „dokumentem ludzkim", do maniactwa doprowadzał gromadzenie szczegółów, opis i wyliczanie przedmiotów tego otoczenia, w którym poruszają się jego bohaterowie. Sumiennie obserwował życie, dążył do objęcia całej rzeczywistości, nie wyłączając z niej faktów, przejmujących wstrętem i grozą.

Bujną jego wyobraźnię podsycały pilnie przezeń studiowane teorie naukowe i ścisła obserwacja wszelkich zjawisk. Poznanie rzeczywistości, uzupełniane przez badanie poszczególnych działów wiedzy, umiał wyrazić w formie nowej, ciekawej.

Naukowe teorie zastosował już Zola w całej rozciągłości w „Madeleine Férat", napisanej w r. 1868. Analizuje to autor hipotezę, t. zw. impregnacji.

Doktorowi Cabanésowi, redaktorowi paryskiej „Kroniki medycznej" powiedział Zola w jednym z wywiadów (Zola chętnie udzielał wywiadów, uważał, że jest to forma dziennikarstwa, odpowiadająca literaturze naturalistycznej, która również zajmuje się sui generis reporterką), że w „Madelei Férat" poruszył po raz pierwszy zagadnienie fizjologii. Zainteresował go fakt, zaobserwowany przez weterynarzy, że klacze rodzą potomstwo podobne maścią do pierwszego ojca. To zjawisko dziwnego przesiąknięcia starał się zastosować do rodzaju ludzkiego.

Postawił sobie pytanie i rozwiązał je twierdząco: młoda dziewczyna ma pierwszego kochanka; po tym bierze drugiego i ma z nią dziecko, podobne do poprzednika w miłości.

„Może się to nie zdarza — mówi Zola tecznie rozstrzygnięta przez hodowców, wolno mi było stawiać hipotezę. Na takich zresztą hipotezach medycznych i przyrodniczych oparł Zola wszystkie swoje koncepcje powieściowe. Po przeczytaniu w latach 1868 i 1869 książki dra Prosper Lucasa o „Dziedziczności naturalnej" („Traité philosophique et physiologijque de l'Hérédité naturelle"), postanowił napisać cykl powieści, w których pragnął rozwinąć kolejne zjawiska dziedziczności. Inna jeszcze przyczyna zmuszała go do pracy regularnej, do pisania tomu lub dwóch rocznie — troska o chleb. W ten sposób powstał wielki cykl powieściowy „Les Rongous - Macquart, histoire naturele et social d'une famille sous le second Empire", składający się z oddzielnych dwudziestu powieści. Pisał powieści te przez dwadzieścia trzy lata (1871—1893) i nie wiele odstąpił od planu obmyślonego po przeczytaniu książki Lucasa.

Realizm Zoli to trzecia faza w rozwoju realizmu literackiego. Pierwsza faza to „Comedie humaine" Balzaca, który malował arystokrację z czasów Ludwika Filipa, druga — to „Madame Bovary" Flauberta, który czerpał treść ze sfery mieszczaństwa prowincjonalnego w epoce drugiego cesarstwa i wreszcie trzecia — cykl Zoli, który zwrócił się do proletariatu i ludu miejskiego.

Credo Zoli ,które za Klaudiuszem Bernardem doprowadziło do stworzenia estetycznego traktatu na tle fizjologii, wyrażało się w haśle, że „myśl powinna być niezależną czy to przez wierzenia naukowe, czy też przez wierzenia filozoficzne lub religijne. Należy być śmiałym i swobodnym w ujawnianiu myśli, należy iść za uczuciem i nie zatrzymywać się zbytecznie nad dziecinnymi obawami o sprzeczności teoretyczne".

Poczytano mu za zbrodnię jaskrawość w sposobie wypowiedzenia się, zarzucano mu, że widzi w człowieku przede wszystkim objawy i przyczyny fizjologiczne. Różne opisy, połóg („Pot Bouille", „Rozkosze życia", „Ziemia") doprowadzały purytan do pasji. Tym odpowiada Zola, że „literatura pełna jest opowiadaniami o umarłych ,do przesytu mówią nam jak istota ludzka gnije i rozkłada się, nigdy zaś nie wspominają jak przychodzi na świat... Nie rozumiem tego, bo czyż urodzenie istoty ludzkiej nie jest również tajemniczym, równie wzruszającym, jak jej koniec?"...

Metodę pracy miał Zola ściśle określoną. Notaty, które robił dla każdego z swych dzieł, przewyższały nieraz sześciokrotnie objętość samego utworu, szczególnie zbierał skrzętnie materiał dla odtwarzania tła. Przed napisaniem piętnastej z kolei powieści z cyklu „Rougon Macquart" p .n. „La Terre" (1887) robił w ciągu kilku miesięcy wyciągi z książek i pism periodycznych, zbierając wszystko, co pisano o włościaństwie. Informował się następnie u ludzi świadomych, gromadził i porządkował dostarczane mu materiały. Ponieważ w powieści tej dotknął wielu części z procedury sądowej, radził się więc notariuszy, niektórzy dostarczali mu notatek, a Maden wreszcie, gdzie mieszkał, był członkiem rady municypalnej i miał rozległe pole dla swoich studiów. Gdy ta praca kompilacyjna była ukończona, rzucał wtedy na papier plan ogólny. Gdy napisał plan ogólny, notując bezładnie wszystkie myśli, które mu się cisnęły do głowy, przystąpił do nakreślania wyraźniejszego planu oddzielnych części utworu (relacje z wywiadów Zoli).

Tę metodę pracy stosował do wszystkich swoich powieści. Słusznie jednak zauważono, że mimo tak skrętnego zbierania materiału w niejednym jego opisie jest dużo „nienaturalistycznej" przesady. Odpowiada na to Zola, że niekiedy chodziło mu tylko o prawdopodobieństwo, niekiedy tylko o efekt dramatyczny, że jest zresztą „zupełnie śmieszne krytykować powieści, jakby ona była zwykłym raportem lub statystyką" bowiem dopiero „wyobraźnia pisarza, połączona z wierną obserwacją prawdy tworzy całość o wysokich walorach artystycznych".

(dokończenie nastąpi).

Zwycięstwo czy klęska?

(dokończenie ze str. 3-ej).

zmian ,gdy nowa wojna jest możliwa, a może nawet i prawdopodobna, gdy sytuacje zmieniają się, jak w kalejdoskopie, i to nie w kierunku dla nas pożądanym.

Klęska czy zwycięstwo, oto pytanie, na które nieco łatwiej będzie odpowiedzieć, znając szczegóły projektu podziału, Wielka klęska utraty części Palestyny, czy wielka szansa, która może się już nigdy nie powtórzyć, objęcia drugiej jej części w rzeczywiste posiadanie narodu żydowskiego. Nie sposób wdawać się w proroctwa, czy utworzenie państwa żydowskiego w części Palestyny zamknie dla nas na zawsze dostęp do części arabskiej (wiadomo, że pomimo wysiłków pozostała dotąd Transjordania zamknięta dla kolonizacji żydowskiej), czy też stworzy szanse pokojowej penetracji (wiadomo z drugiej strony, że emir Abdulla chciał cały czas kolonizacji żydowskiej w swoim państwie). W każdym razie po ogłoszeniu szczegółów projektu jedno będzie można ocenić: możliwości rozwojowe, które projekt nam stworzą. Wtedy dopiero przyjdzie pora na dojrzałą decyzję.

Kto wie, czy naród żydowski nie stoi teraz przed punktem zwrotnym w swych dziejach?

J. LESER

HABIMA U SZCZYTU SŁAWY*)

Stanisławski był zachwycony „Dybukiem". Przeczytał mu go sam autor, Anski, który początkowo zamierzał go wystawić na scenie rosyjskiej. Stanisławski jednak odradzał, dowodząc, że tylko żydowscy aktorzy potrafią oddać bez uszczerbku całe piękno żydowskiego folkloru. Zachwyt Stanisławskiego dla „Dybuka" był dla Cemacha miarodajny. Zabrano się do czytania sztuki w pięknym tłumaczeniu hebrajskim Bialika. Reżyserii podjął się genialny Wachtangow, który w międzyczasie wrócił z sanatorium. Zaczęła się gorączkowa praca, która trwała dniem i nocą przez długie miesiące. Wachtangow przygotowywał aktorów od podstaw, udzielając im nietylko praktycznych wskazówek. Wykładał im także teorię teatru a poza tym wpajał w nich miłość i szacunek dla sceny: „Pamiętajcie — mawiał — że waszym zadaniem na scenie jest natchnąć, budzić zapał, uczyć, moralizować i dlatego musi dla was scena być świątynią".

Studio Habimy zamieniło się w laboratorium aktorskie. Studiowano pod kierunkiem Wachtangowa każdą rolę, którą cały zespół wraz z nauczycielem omawiał, dyskutując nad każdym szczegółem godzinami. Chodziło o uzyskanie postaci artystycznie i psychologicznie pełnych. Nawet każdy „żebrak" musiał w sobie odtworzyć całą historię swego żebractwa i kalectwa.

W pracy nad Dybukiem po raz pierwszy występuje Wachtangow ze swą nową teorią — steatralizowanego realizmu. (Z okazji 15-lecia śmierci Wachtangowa, będziemy mieli sposobność na łamach „Steru" w osobnym Wachtangowi poświęconym artykule omówić szczegółowo jego pracę reżyserską). Najwięcej inwencji twórczej w myśl swej nowej teorii o teatrze włożył Wachtangow w drugi akt „Dybuka", osiągając w „tańcu żebraków" najwyższe szczyty sztuki reżyserskiej. Był to realizm groteskowy, był to, rzec można, ekstrakt żebraczej rzeczywistości. Były to typy żebraków nieprzeciętnych, których niesamowity widok przytłaczał.

Całą zimę trwała praca nad „Dybukiem". Aktorzy głodowali i marzli, ale grzał ich zapał, podtrzymywała wiara w swoje posłannictwo i ostateczne zwycięstwo Wachtangow, mimo choroby, która się znów odezwała, a której niedługo potem uległ, pracował niezmordowanie wśród długich zimowych nocy, bardzo często aż do białego rana. Pracował nie tylko nad zmontowaniem spektaklu i ogólną inscenizacją, ale szlifował każdy ruch, każdy gest, każde wypowiedziane słowo aktora. Była to praca na jaką może się zdobyć tylko geniusz porwany nieokiełznaną wolą twórczą.

Muzykę do „Dybuka" skomponował Engel, który razem z Anskim jeździł po Rosji i Ukrainie zbierając motywy żydowskiego folkloru. „To co Anski znalazł w słowie, znalazł Engel w muzyce". Znaczenie Engla dla „Dybuka" w inscenizacji Habimy było niemniejsze niż Wachtangowa. Wachtangow był tak porwany każdą melodią Engla, że pragnął wszystkie wyzyskać. Temu też należy przypisać, że „Dybuk" jest przepojony muzyką.

Dużo pomysłowości trzeba było użyć, by wydostać środki pieniężne na sporządzenie dekoracji, kostiumów i kupno różnych scenicznych rekwizytów. Zdobyto je dzięki Wachtangowi i przyjacielowi jego, wielkiemu aktorowi rosyjskiemu, Michaelowi Czechowowi.

Dopiero z Dybukiem osiągnęła Habima obok nadzwyczajnego moralnego sukcesu także pełne materialne powodzenie. Zachwyt i entuzjazm ogarniał widzów. Widownia była stale na kilka dni zgóry wysprzedana. „Dybuk" oglądała nie tylko cała Moskwa, ale także tysiące ludzi, którzy z prowincji specjalnie w tym celu przyjeżdżali do Moskwy.

Z wystawieniem „Dybuka" rozpoczyna się też złoty okres Habimy, kryjący jednak w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla jej dalszego istnienia. Habima była na ustach wszystkich, budziła podziw, ale równocześnie w niektórych kołach komunistycznych, szczególnie w żydowskiej sekcji Komisariatu Oświaty — ostre sprzeciwy. Sowiecka opinia publiczna podzieliła się na dwa obozy pro i contra. Przeciwnicy zarzucali Habimie wstecznictwo, kontrrewolucjonizm, narodowo burżuazyjną działalność kulturalną, syjonizm. Najważniejszym dla nich atutem był język hebrajski. Jedynym wyjściem z groźnej sytuacji Habimy było zaliczenie ją w poczet teatrów państwowych. Starania w tym kierunku natrafiały na wielkie trudności. Wreszcie jednak udało się uzyskać odnośną uchwałę w Komisariacie Oświaty. Habima otrzymała zaświadczenie podpisane przez samego Lenina o lakonicznej treści: „Pozwolić Habimie pracować i zaliczyć ją w poczet teatrów państwowych".

Niedługo po wystawieniu „Dybuka" umiera Wachtangow, opromieniony sławą mistrza reżyserji. Habima pozostaje znowu bez reżysera. Przez jakiś czas pracuje z Habimowcami sam Stanisławski. W przygotowaniu jest „Kupiec Wenecki". Przedstawienie jednak nie dochodzi do skutku. Stanisławski z powodu braku czasu przerywa próby. Tymczasem gra Habima prawie bez przerwy „Dybuka", rozglądając się równocześnie za nową sztuką i reżyserem. W tym czasie przyjeżdża do Moskwy Bialik. Radość wśród habimowców — wielka. Habimowcy szukają u Bialika odpowiedzi na liczne dręczące ich pytania. Wieszcz hebrajski chyba będzie mógł im wskazać właściwą drogę po której ma kroczyć dalej jedyny teatr hebrajski. Na bankiecie urządzonym ku czci Bialika, wśród podniosłego nastroju padają patetyczne, ale równocześnie pełne dramatycznego napięcia słowa: „Chozeh tejn lanu machzeh" (Wieszczu daj nam sztukę). Był to okres spokoju w twórczości Bialika. Oblicze Bialika zasnuło się smutkiem. Nie mógł niestety spełnić gorącego żądania spragnionych pracy i wspinania się wzwyż ku niedościgłym ideałom parwdziwej sztuki, habimowców.

Habima nie mogąc znaleźć nic monumentalnego w ubogim żydowskim repertuarze, decyduje się na wznowienie „Wiecznego Żyda", ale w ramach zupełnie innych. Jednoaktówka Pińskiego wyzyskana zostaje dekoracyjnie i muzycznie do maksimum. Reżyseruje znów Mczedełow. Muzykę komponuje znany kompozytor Aleksander Krein. Mczedełow stwarza arcydzieło sceniczne, a kreacja Rowiny w roli Matki urasta do miary kreacji-symbolu.

Mimo powodzenia jakim się cieszy Wieczny Żyd" w monumentalnej inscenizacji Mczedełowa, Habima stoi nadal przd tragicznym znakiem zapytania: Co dalej? Jaką pójść drogą? Habima — sowiecki teatr państwowy o wybitnie narodowo-żydowskim obliczu?! Czyż to nie paradoks? Podczas gdy inne teatry moskiewskie wobec nowej budującej się rzeczywistości rosyjskiej, dają coraz częściej wyraz różnym przejawom rewolucji, syntetyzując w mocnych skrótach scenicznych „nowe życie", apoteozując nadciągającą przyszłość, Habima tkwi stale w przeszłości. Huragan rewolucji zmiażdżył wiekowe tradycje, wyrywał stare, głęboko zakorzenione atawizmy i to wszystko znajdywało artystyczny wyraz w nowym teatrze rosyjskim — twór Meyerholda i Tairowa. Jak się ma ustosunkować Habima do tej nowej rzeczywistości, do tego wołania o nowe jutro? Groziło niebezpieczeństwo i to bardzo poważne: Habima zboczyć może z wytkniętej na początku linii; — pierwszy żydowski teatr narodowy ulec może rewolucyjnym inowacjom teatralnym. Tamą wstrzymującą napór owej fali rewolucyjnych inowacji okazał się znów język hebrajski. Habima zwraca się do koryfeuszy literatury hebrajskiej: Czernichowskiego, Szneura i in. z błagalnym wołaniem o repertuar.

Wtem zjawia się, na jednym z częstych, a burzliwych posiedzeń kolektywu Habimy, aktor Halewi z poematem Lejwika „Golem". Z zapartym tchem zapoznaje się cały kolektyw z cudownym dziełem Lejwika, który wywiera na wszystkich mocne wrażenie. Pada myśl opracowania scenicznego poematu. Całą noc trwa gorąca dyskusja nad projektem inscenizacji pięknej wizji Lejwika. Cemach jest zachwycony uczuciową atmosferą jak i społecznym podłożem legendy. Cemachowi udaje się przekonać przeciwników Przeróbki scenicznej dokonuwują sami aktorzy kolektywnie (rzadki wypadek kolektywnej pracy) ze świetnym rezultatem. Jako reżyser zaproszony został Weryszyłow (także uczeń Stanisławskiego), który stosuje wszystkie metody pedagogiczne swojego wielkiego nauczyciela. Rozpoczyna się mozolna, trwająca miesiące całe praca nad każdą z ról. Motyw przewodni potężnej wizji Lejwika był zrazu dla habimowców niejasny a bez prawdziwego zgłębienia go, trudno było o właściwe postawienie ról. A poza tym były niektóre role same dla siebie pewnego rodzaju psychologicznymi dylematami, z których trudno było wybrnąć. Golem, Maral, Tanchum — to były role, które wymagały długich mozolnych studiów, by ich nie zbanalizować. „Golem" osiągnął dzięki mrówczej pracy, kierowanej wprawną ręką reżyserską Weroszyłowa niemniejsze powodzenie od „Dybuka". Widownia była stale wysprzedana, a recenzje w prasie, mimo religijnego motywu sztuki, pełne były zachwytu dla artyzmu Habimy.

Po „Golemie" wystawia jeszcze Habima w Moskwie „Sen Jakóba" Beera Hoffmana i „Potop". Przedstawienia te przechodzą jednak bez większego echa, co w dużej mierze przyczynia się do tego, że Habima opuszcza Rosję i wybiera się na tournée po Europie.

Habima spotyka się wszędzie z niebywałym entuzjazmem. Wielka, prawdziwa sztuka oczarowuje wszystkich. Żydzi przyjmują wszędzie Habimę z królewskimi honorami. Ale mimo tych niebywałych sukcesów atmosfera teatralna i prasowa burżuazyjnej Europy nie sprzyjała duchowi, panującemu w kolektywistycznej Habimie, a wyprawa po „złote runo" do zmaterializowanej Ameryki zabiła do reszty artystyczną wspólnotę Habimy. W Ameryce businessu i happyendów nie było miejsca do tragizmu Habimy. Kolektyw się rozbija. Część habimowców pozostaje w Ameryce, reszta przenosi się do Palestyny, gdzie działa i gdzie, miejmy nadzieję, przy odpowiednim repertuarze będzie w stanie dać wyraz sceniczny nie tylko naszej bogatej przeszłości, ale także pięknej, *nowej rzeczywistości palestyńskiej.*

*) Por. w Nr. 21 „Steru" — Jak pracowała Habima.



Płaszcze impregnowane damskie
Pelerynki gumowe
NAJTANIEJ POLECA
Skład cerat i kaloszy
Buchalter i S-ka
Warszawa
Nalewki 13, tel. 11-89-83

Frédéric Boutet

Pierwsza miłosna przygoda pana Ludwika

Nowela

Tego ranka, jak codzeń, wszedł pan Lefresnay majestatycznym krokiem do swego gabinetu, surowego i uroczystego sanktuarium, znajdującego się na pierwszym piętrze wielkiej fabryki. Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać pocztę.

Nagle poruszył się zdziwiony. Czytał:

„Kocham pana. Długo walczyłam z sobą. Dłużej już nie mogę. Nie śmiem podpisać tego listu. Później dowiesz się, kim jestem. I tak, jestem przerażona, że zdobyłam się na odwagę napisania do Pana... Ale miłość jest silniejsza ponad wszystko, a ja kocham pana. Powtarzam wciąż to imię: Ludwik, Ludwik, podczas bezsennych nocy... Tak, ośmielam się nazywać Pana po imieniu. Mam ciągle przed oczyma Twoją twarz energiczną, twój wzrok stanowczy... Ten obraz wrył się w me serce... Czy wiesz, że znamy się osobiście?... Spotykamy się często! I może dlatego, moja miłość ku Tobie rośnie z każdym dniem... Rumienię się, pisząc te słowa, chociaż czytając je, nie wiesz, od kogo pochodzą. Nie wiem, czy ośmielę się odkryć Ci to kiedykolwiek... chyba, że mnie ośmielisz twym postępowaniem. Piszę na maszynie, żeby zachować pewniejsze incognito... Za kilka dni napiszę znowu. Żyję tylko dla Ciebie... Kocham Cię. Ach jak bardzo Cię kocham!..."

Podpisu nie było. List był pisany na zwykłym, maszynowym papierze. Pan Lefresnay odczytał go ponownie. Potem przez chwilę zastanowił się; a potem podszedł do lustra, umieszczonego nad kominkiem i przyglądał się sobie długo i uważnie.

Pan Lefresnay miał o sobie zawsze bardzo wysokie mniemanie. Uważał się za istotę wyższą od przeciętnych ludzi. Był inteligentny, mądry, bogaty, wpływowy. Ale nigdy nie przypuszczał, że do tylu wszystkich darów, którymi go los wyposażył, dojdzie jeszcze pewnego dnia dar zdobywania serc niewieścich. Dotychczasowe jego życie uczuciowe i erotyczne sprowadzało się do kilku banalnych miłostek z czasów studenckich. Potem ożenił się również banalnie ze swoją daleką kuzynką, której majątek potrzebny był do powiększenia jego fortuny. To było wszystko. Praca, pogoń za pieniędzmi, ambicja, chęć panowania, przewodzenia, rozkazywania, absorbowały go w zupełności. Obecnie w czterdziestym roku życia, zrozumiał, że nie zauważył w sobie zupełnie cech uwodziciela. Ten list dopiero otworzył mu oczy. Przeczytał go po raz drugi. Schlebiał mile jego próżności, łechtał jego ambicję. Powrócił do lustra, przejrzał się znowu i skonstatował, że jest bardzo przystojny i ma wytworną, męską urodę, z czego nie zdawał sobie dotychczas absolutnie sprawy.

— Fałszywa skromność — mruknął do siebie.

Wrócił do biurka, usiiadł, i począł rozmyślać. Od kogo mógł być ten list? Co za kobieta go pisała? Kim była ta, której miłość była tak gorąca? Według tego co pisała, była jego znajomą, spotykał ją często. A więc... Czyżby jedna z przyjaciółek jego żony? Przejrzał je w myślach: trzy były ładne, dwie możliwe... O brzydkich nawet nie pomyślał; kobieta, która śmiała wyznać mu swoje uczucie, musiała być ładna. Ale oto inna alternatywa zrodziła się w jego głowie: może to była jedna z jego stenotypistek? Zatrudniał ich sześć. Na żadną nigdy nie zwracał uwagi. Były tylko mechanizmami w skomplikowanej maszynie, którą kierował. Nie zastanawiał się nad tym, że były obdarzone ludzkimi uczuciami. Czy któraś z nich ośmieliłaby się podnieść oczy na niego, swego nieprzystępnego szefa?...

Długo zastanawiał się, kończąc mechanicznie przeglądać pocztę. Był wciąż jeszcze zamyślony, gdy wydawał polecenia swym urzędnikom; był zamyślony podczas konferencji, którą następnie odbył i podczas inspekcji w fabryce, wreszcie w domu, dokąd przyszedł, by zjeść śniadanie.

— Kto mógł do mnie pisać? Kim jest kobieta, która mnie kocha? — pytał samego siebie, siedząc przy stole i jedząc w milczeniu. A pani Lefresnay osoba niepozorna o wyglądzie zrezygnowanym, której trzeba było dobrze przyjrzeć się, żeby zobaczyć, iż była jeszcze młoda i prawie ładna, — skonstatowała bez słowa że jej mąż wydawał się tego dnia jeszcze bardziej autorytatywny, poważny i milczący, niż zwykle.

Pan Ludwik Lefresnay czekał z niecierpliwością na następny, zapowiedziany list. Przyszedł w trzy dni potem, pisany, tak samo jak pierwszy, na maszynie, na zwykłym, maszynowym papierze.

Zawierał, co następuje:

— Widziałam cię, o ty, którego kocham coraz więcej...! Patrzyłam na ciebie ze wzruszeniem. Mówiłam sobie: on czytał mój list. I nie wie, że to ja do niego pisałam. Jakże byłby zdziwiony, gdyby wiedział... Czy ośmielę się kiedykolwiek mu to wyjawić?... Tak, tak, już za kilka dni. Ale jeszcze nie teraz, nie teraz... Och, Ludwiku, — jakże to imię mi jest drogie! Och, Ludwiku, powiedz, że szczerość moja nie jest ci niemiłą, że nie sądzisz źle nieznajomej, która wyznaje ci swą miłość. Posłuchaj, mój przyjacielu... Wybacz mi to słowo! Mam do ciebie prośbę. Jeżeli ją spełnisz, będę szczęśliwa. Jeżeli nie pogardzasz moją miłością szaloną, bądź pojutrze t. j. w piątek o godz. 7-ej wieczorem pod Madeleine, trzymając w ręku gazetę. To wszystko. Nie będziesz mógł mnie zobaczyć. Ale ja będę cię widziała zdaleka i będę wiedziała, że mogę do ciebie pisać, że moja miłość nie gniewa cię... Tak bardzo cię kocham!... Miej litość nad uczuciem tak głębokim, wielkim, tkliwym! Kocham cię tak bardzo, że sama jestem tym olśniona, przerażona... Tracę głowę... Tak, to prawda, że nigdy żaden mężczyzna nie był tak bardzo wart miłości, jak ty..."

Pan Lefresnay siedział nad tym listem nieruchomy. Nie wiedział, czy pójść w przyszły piątek na to spotkanie o siódmej wieczorem. Czy nie będzie to oznaką zbytniej słabości takiego człowieka jak on? Z drugiej tsrony, nie chciał zniechęcać nieznajomej. Chętnie pozwalał się kochać i podziwiać. Jego obecność pod Madeleine okaże to, nie kompromitując go przecież.

Nazajutrz po tym „randez-vous" na którym niewidział nikogo, i jak mu się zdawało, sam nie był widziany, otrzymał nowy, płomienny list i pełen podziękowań i wyrazów miłości. Potem, listy były coraz częstsze i dłuższe... słowa pełne poezji przeplatały się z namiętnymi wynurzeniami na arkuszach maszynowych.

Pan Lefresnay, niezbyt oczytany, nie spostrzegał, że te zdania pochodziły ze znanych powieści, tworząc całość, tak mu schlebiającą. Był coraz bardziej zaintrygowany tą miłością gorącą i tajemniczą. Kimże mogła być ta kobieta? Drżał z chęci dowiedzenia się tego.

Podczas pewnej towarzyskiej wizyty, zdawało mu się, że odkrył kim była jego nieznajoma. Czyż była nią urocza Denise Foville? Siedząc koło niego przy stole, pani ta, śliczna, miła kobietka, zachowywała się, jak mu się wydawało, prowokująco.

Półgłosem uczynił parę aluzyj, które zdawała się rozumieć:

— To ona, nie ma żadnej wątpliwości, pomyślał. Szepnął jej do ucha:

— I ja również panią kocham...

— Co takiego?... Co pan powiedział? Nie rozumiem! — odparła pani Forille z gestem i spojrzeniem, okazującym tyle zdziwienia, że natychmiast zrozumiał swą omyłkę. To nie była ona... A więc kto? Kto!?

Listy nadchodziły w dalszym ciągu regularnie, literackie, poetyckie, płomienne, czułe. Jeszcze nie miała odwagi zdradzić swego incognita. Od czasu do czasu jednak, pan Lefresnay był proszony o akcentowanie tej dziwnej miłości, przez jakąś wewnętrzną oznakę. A więc proszono go o pójście do tego i tego teatru, włożenie krawata specjalnego koloru i t. p. Spełniał te prośby, zniecierpliwiony już, płonący pragnieniem poznania nieznajomej. Wypełniała mu życia, był dumny z tej ukyrwanej miłości. Romantyczne instynkty, drzemiące w nim, budziły się do życia...

Nie był już spokojnym i zrównoważonym Lefresnay'em z dawnych czasów; stał się roztargniony; któregoś ranka, przyszedłszy do biura, zauważył, że zapomniał w domu swego portfelu. Były w nim ważne papiery, pieniądze, a oprócz tego zawierał ostatni list od nieznajomej.

Pan Lefresnay nie chcąc telefonować po portfel, sam wrócił do domu. Wchodząc do swego pokoju, musiał przejść przez salonik swej żony. Nie było jej tam w tej chwili, ale na biureczku stała maszyna do pisania, z zawiniętym papierem. Był to rozpoczęty list. Pan Lefresnay mimowoli rzucił nań okiem. Ten sam papier i ten sam charakter liter, którym były pisane do niego listy miłosne! Przeczytał:

— Ludwiku, Ludwiku, mój najdroższy...

Pan Lefresnay sponsowiał...

— Ach, mój Boże! — zawołała w tej chwili przerażonym głosem pani Lefresnay, która właśnie weszła do salonu.

Zapadło milczenie.

— A więc to ty pisałaś do mnie te listy? — wreszcie wymówił po długiej chwili, pan Lefresnay.

Przytaknęła ruchem głowy.

Zamilkł znowu.

Rozczarowanie jego było straszne. Nie istniała już nieznajoma, nie istniała miłość, nadzieja... Że był kochanym do tego stopnia przez własną żonę, nie było niczym nadzwyczajnym. Była jego żoną, jej obowiązkiem, było go kochać... Kochała go więcej, niż przypuszczał, to prawda, kochała go głęboko! Był tym trochę wzruszony, ale znowu gniew go porwał, powtórzył więc gwałtownie:

— Więc to ty pisałaś do mnie te listy? — Czy to są listy uczciwej kobiety do swego męża? I w jakim celu to robiłaś? Skąd brałaś te wyszukane i pięknie brzmiące i aż nieprzyzwoite zdania?

— Z powieści, które czytałam — przyznała się.

— Z powieści, które czytałaś!?

— Tak, bawiło mnie to, brałam więc zdania z tej i z owej książki i komponowałam listy... Nudziłam się, a to mnie bawiło. Nie gniewaj się, Ludwiku — prosiła nieśmiało.

Pan Lefresnay był szczerze wzruszony. Nigdy nie podejrzewał, że jego żona żywiła dla niego tyle gorącej miłości.

Mówiła dalej, szczerze i poprostu:

— Gdy je już napisałam, uważałam, że są zabawne. Nabrałam chęci wysłania ich. Mogłam je posłać tylko do Ciebie. Należało tylko dopisać twoje imię — Ludwiku... Tak mnie bawiło, gdy widziałam, że bierzesz moje listy na serjo... Tak wiele mi sprawiło przyjemności, gdym widziała, że szedłeś, dokąd prosiłam, że zmieniałeś krawat... To nie dowodziło, że listy były dobre... A gdy miałam chęć pójścia do teatru... Ale rozumiesz, że to były żarty: nie pisałam poważnie tych wszystkich nieprzyzwoitych rzeczy, zakończyła, rumieniąc się...

Pan Lefresnay był kompletnie zmiażdżony. Jego miłość własna otrzymała potężny cios. Nie był więc Don Juanem... nawet dla niej.

tłum. z francuskiego *M. H.*

Ernst Simon

FANATYK HUMANIZMU

(60-lecie urodzin Dr. I. L. Magnesa)

Dr. Magnes w swej syntetycznej rozprawie, wydrukowanej dziewięć lat temu w czasopiśmie „Juden" w związku z pięćdziecięcioleciem urodzin Martina Bubera, dał nam doskonały przykład jak należy pisać artykuły jubileuszowe, które by zawierały ową konieczną przecież szczyptę soli, a nie były jednocześnie przesadnym hymnem pochwalnym na cześć jubilata. Skreślił wtedy dr Magnes historię swego osobistego stosunku do Bubera, co wydaje mi się najbardziej słuszną formą wypowiedzi, albowiem między nadzieją i rozczarowaniem znaleźć się powinno zawsze pozytywne twierdzenie człowieka i myśliciela.

Pozwolę sobie zatem dorzucić do tych licznych, bardzo obiektywnych i rzeczowych myśli, jakie wypowiedziano na temat dzieła życia dr Magnesa — swoje, osobiste wynurzenia. Czynię to w przekonaniu, że uwagi te nie są tylko owocem moich przekonań, ale że dzieli je wielu z pośród nas.

Jest rzeczą niezwykle znamienną i symptomatyczną, że żydostwo w obecnej fazie rozwoju ,a więc w okresie niebezpiecznym i przełomowym, nie mogło się dotąd zdobyć na jednolity wyraz swej siły przede wszystkim — moralnej i duchowej. Posiadamy oczywiście wielu przywódców-Żydów, kierujących najrozmaitszymi odłamami naszego, a nawet nie koniecznie naszego społeczeństwa, ale nie ma odpowiedzi całego żydostwa na bolączki i krzywdy ostatnich czasów. W analogicznej sytuacji znajdują się również pewne ugrupowania katolickie i protestanckie, które jednak, jak mi się wydaje, mają nad nami pod tym względem przewagę. Nie na to jednak pragnę położyć główny akcent. Tak jak wszystko, co pochodzi ze sfery porównań — ma i to znaczenie drugorzędne. Pragnę przede wszystkim podkreślić owo charakterystyczne milczenie, które stało się już przysłowiowym nawet w odniesieniu do wielu wybitnych naszych jednostek. Czyż z naszego wielowiekowego istnienia, doświadczenia i tradycji nie potrafimy wysnuć potężnej, jednolitej myśli żydowskiej, ściśle naszej, która by poprowadzić nas mogła w okresie tak trudnym i przełomowym? Czyż my — pilni, pracownicy na obcych terenach — na własnym nagle zaniemówiliśmy?

Nie zawsze ale właśnie w najbardziej krytycznych chwilach swego życia należał dr Magnes do tych nielicznych, którzy wierzyli niezłomnie w potęgę żydowskiego słowa i w jego ponowne odrodzenie. Urodzony w San Francisco, typowe dziecko amerykańskiej kultury, powołany został Dr Magnes w bardzo młodym wieku na stanowisko reformacyjnego rabina w Emanuel Tempel i wtedy poraz pierwszy zetknął się z żywą mową żydowską i z masą żydowską, stłoczoną w dzielnicach nowojorskiego East Side'u. Wtedy właśnie poraz pierwszy począł się uczyć języka żydowskiego. Po raz drugi zawiązał dr Magnes bliski kontakt ze społecznością żydowską w okresie wojny. Wtedy to wszedł w ostry konflikt z przedstawicielami Gminy Żydowskiej i amerykańskim żydostwem ,a nawet z władzą państwa. Dr Magnes był już wtedy znaną osobistością na kontynencie amerykańskim i jako fanatyczny wyznawca idei humanistycznej nie mógł pogodzić się ze stanowiskiem Ameryki wobec wojny europejskiej. Jego późniejsze „War-Times Andresses" trzymane były pod czujną strażą zbrojnych żandarmów. Co jednak najbardziej różniło Magnesa od innych pacyfistów i humanistów — to przede wszystkim owo silne poczucie rzeczywistości i kult dla pozytywnego, realnego czynu, a jego działalność polityczna i dyplomatyczna nie odbywała się kosztem zaniedbania pracy na rzecz Żydostwa, lecz biegła równolegle. Ten sam bowiem Dr Magnes który po długich latach walki i pracy społecznej zjednoczył wreszcie wszystkie związki synagogalne Nowego Jorku w jednolitą, silną organizację, ten sam, który zrozumiał bodaj najwcześniej wielkie znaczenie żydowskiego, ściśle żydowskiego wychowania dla młodego pokolenia Żydów w Ameryce i zreorganizował „Bureau for Jewish Education", ten sam, który serdeczny trud swego życia poświęcił sprawie palestyńskiej i odbudowie żydowskiej ojczyzny — właśnie on, czerpiąc z najgłębszych źródeł judaizmu był na bojownika sprawiedliwości dziejowej i pacyfistę najbardziej predystynowany.

Nie znaczy to bynajmniej, aby Żydostwo jako takie było w tak silnym stopniu nastawione na bezwzględne wyznawanie idei pokoju i skoro Dr Magnes przy pewnej okazji wyraził przekonanie o bezwzględnym nastawieniu Żydów do wszech światowej idei pokoju — pomawiany był o kaznodziejstwo, które nie licowało z powagą jego czynów.

Największym doświadczeniem i przeżyciem dla Dr Magnesa była Palestyna, gdzie w roku 1923 osiedlił się na stałe. Do problemu arabskiego odniósł się niemniej poważnie, niż swego czasu do problemu wojny europejskiej.

Lata 1929 i 1930 wyróżniły się w życiu Magnesa wzmożoną aktywnością. Przeżywał wtedy Magnes wielki kryzys zarówno w stosunku do żydowskiej opinii publicznej w Palestynie, jak i w stosunku do własnego dzieła życia — Hebrajskiego Uniwersytetu na Górze Ccopus, a bez poparcia moralnego i fizycznego tej opinii świata żydowskiego nie można było w ogóle kontynuować pracy. Stanął więc Magnes przed jednym z najtrudniejszych zagadnień swego życia: zrezygnować z działalności politycznej i poświęcić się całkowicie Uniwersytetowi.

Uwagi niniejsze pragniemy zakończyć tym, czym je rozpoczęliśmy. Mianowicie w rozprawie o Buberze wyraził się dr. Magnes ,że Uniwersytet jerozolimski jest jedną z największych konieczności w życiu młodej Palestyny i jest jednocześnie wyrazem najgłębszych założeń judaizmu. Dzieło Uniwersytetu palestyńskiego pod takim kątem widzenia — jest najpoważniejszym osiągnięciem żydowskim i najwspanialszym wycinkiem palestyńskiej rzeczywistości.

Nie mamy dla Dr Magnesa innych dziś słów błogosławieństwa jak właśnie te, aby dzieło przez niego rozpoczęte dobiegło szczęśliwie do pełnej realizacji, co stanowić będzie wielką rekompensatą jego trudu i walki.

Leon Baumberg

Sonety Mieczysława Brauna

Mieczysław Braun: Sonety. Nakładem Wydawnictwa F. Hoesicka, Warszawa 1937.

Szósty z kolei tom Mieczysława Brauna, zawiera czterdzieści trzy sonety najprzedniejszego gatunku, krystalicznie czyste w formie i jasne w koncepcji, pozbawione wszelkich niedomówień, spokojne a zarazem pulsujące wspaniałym nurtem poetyckiej pasji. Nie ma w nich taniego efekciarstwa i blichtru, jest solidna, dobrze przemyślana praca poety, jest serdeczny trud ujęcia zawiłych przeżyć osobistych i skomplikowanych wydarzeń świata w spokojną, klasyczną formę sonetu. Nie napotykamy tu również owej charakterystycznej dla wielu poetów współczesnych manii pointowania, gdzie często całość wiersza nagina się sztucznie do jednej zgrabnej wypowiedzi. W sonetach Brauna jest przede wszystkim — szczerość, i autentyczne, niczym nie fałszowane przeżycie. Nie ma w nich wreszcie poetyckości, przez którą rozumiem sztuczne, nierealne nastroje i konwencjonalne rekwizyty, stanowiące pstrą i rażącą szatę wiersza, jest natomiast — poezja, która płynie do nas z każdej zwrotki sonetu bezpretensjonalnej i w prostocie swej wzruszającej. Braun nie boi się rymów „miły" i „mogiły", „sumienia" i „zapomnienia", nie unika panicznie klasycznej strofy, kołyszącej się rzekomo, jak to ktoś z awangardy zbyt pochopnie stwierdził — beznadziejną nudą. Wręcz przeciwnie. Po tych wszystkich prawdziwie karkołomnych i typowo prestidigitatorskich wyczynach poetyckich młodych i najmłodszych poetów — wiersz Brauna oddycha swobodnym wiewem „starej", powiedziałbym nawet — mickiewiczowskiej poezji, przynosząc akcenty głębokie i trwałe. To, co przeżywa w sonetach Braun — jest istotnie artystycznym przetrawieniem świata, a takie np. zdanie „brama ta sama i te same schody, poręcz, framuga, tak dobrze mi znane!" ma niewątpliwie pełne pokrycie uczuciowe i artystyczne i jest jednocześnie dalekie do sentymentalnego roztkliwiania się nad przeszłością i dawnymi pamiątkami.

Już pierwszy sonet, zaczynający się od słów „poezjo żywa!", odtwarza nam zmagania poety z przeznaczeniem, z misją poetyckiego rzemiosła, z nieuchwytną i zdradliwą muzą, która co prawda *„idzie ku ludziom i serca otwiera"*, ale kto raz się z nią zbratał, ten już nigdy spokoju nie zazna, bo *„rozdarte ma piekła i raje"*. Ów wieczny niepokój ,który targa ludźmi i nie daje im spocząć, życie, które stawia człowieka przed ciągłą zagadką i które zmusza go do wyboru między piekłem i rajem, dniem i nocą, siłą złą i dobrą, wszystko to znalazło wspaniały wyraz w sonecie dwunastym: Podajemy go tutaj w całości:

„Ten wieczny wybór między dniem i nocą,
Późnym półzmierzchem i wczesnym półświtem,
Między południem pełnym i północą,
Między przepaści dnem i między szczytem.

Wybór pomiędzy jawnem i ukrytem
Burzą i ciszą, słabością i mocą,
Zbroją Goliata i Dawida procą,
Pomiędzy światem i pomiędzy mitem.

We dnie gwiazd szukasz, a w nocy świtania
To cię do cierpień, to do szczęścia skłania
Ten wieczny wybór i trudny tak bardzo.

Niebo i ziemię zamień w jedną brylę!
I twoja słabość zamieni się w siłę.
Jeśli pokochasz to, czym inni gardzą.

Bunt przeciwko ułomnościom życia i niedoskonałości dzieła Stwórcy, bunt, który u Brauna nabiera patosu biblijnego i jest kwintesencją tragicznego przemijania doczesnych wartości (pisaliśmy już o tym przy omawianiu poprzedniego jego tomu „Żywe stronice", por. 9 Nr. „Steru") znajduje w sonetach, jako w formie poetyckiej najbardziej podatnej do tego rodzaju rozmyślań, wyraz prawdziwie doskonały. Dochodzi tu przede wszystkim do głosu tragizm przemijania i owa charakterystyczna ironia, świadectwo największej słabości człowieka w obliczu *„Mocy, co znęcać się lubi, mówiąc, że tworzy na swe podobieństwo"*.

Obok tych właśnie sonetów które dotykają jakby praźródeł naszego bytu, wskazując ich głębie i niezbadane dno, spotykamy i takie, które odtwarzają aktualną naszą rzeczywistość, nie wyłączając szaleństwa rasy, krwi i nienawiści. Pamiętne spalenie książek na ulicach i placach Berlina, odmalowane zostało w przepięknym sonecie, którego pierwszą choćby zwrotkę musimy zacytować:

Aleksandrijskich bibliotek pożarem
I rękopisów i ksiąg spalenizną
Nad głów młodzieńczych przedwczesną siwizną
Wiatr przewiał ciemny niezdrowym oparem.

Klasyczny wiersz Brauna, spokojny a zarazem porywający nurt jego poezji sprawiają, że obcując z tymi sonetami oddychamy czystą nieskazitelną atamosferą prawdziwej sztuki.

LEON STRAKUN

WYSTAWA W IPSIE

ZYGMUNT WALISZEWSKI, ALEKSANDER RAFAŁOWSKI, LUCJAN ADWENTOWICZ.



Z. Waliszewski — Autoportret.

Pośmiertna wystawa Zugmunta Waliszewskiego jest pierwszą w Warszawie zbiorową wystawą Jego dzieł, pierwszym przeglądem znacznej części dorobku znakomitego, w pełni twórczego rozwoju zmarłego artysty.

Wystawa ta ukazując nam niepospolite i fascynujące malarstwo, znane zaledwie z tzw. ogólnych salonów jest—podobnie jak pośmiertna wystawa Makowskiego — radosną manifestacją żywotności polskiego malarstwa.

Dominującym elementem twórczości Waliszewskiego jest kolor. Stąd rzadko spotykana różnorodność i rozpiętość skali barwnej, w której przeważają lila, zielone i róże. Waliszewski traktował kolor jako czynnik kompozycyjny, kształtujący powierzchnię obrazu.

*Kolor jest jakby stopiony z płaszczyzną obrazu, plama zazwyczaj płaska, dekoracyjna. Obok tak płynnej, szeroko rzuconej plamy używał on często techniki drobnych, częstotliwych rzutów, tworzących ruchliwą, drgającą kontrastami powierzchnie. Wpatrzony w Cezanne'a posiadał przytem szczególne poczucie formy, którą wydobywał i urabiał zazwyczaj kolorem. Natomiast wartości linearne podkreślał w groteskach (cykl Don Kichota), w obrazach o wyraźnej, ilustracyjnej tematyce, elastyczną, jędrną, dynamiczną, jakby kłębiącą się linią, łącąc rysunek z barwą w integralną, zgodną całość. Zakres zainteresowań Waliszewskiego był niesłychanie szeroki. Interesowało go obok malarstwa stalugowego—dekoracyjne, obok oleju — akwarele, gwasz, to znów rysunek piórkiem, ołówkowy. Wszystkie rodzaje uprawiał z jednakową, ogromną namiętnością, ciagle poszukując coraz to nych **problemów** formalnych. Waliszewski ulegał sugestiom licznych mistrzów, począwszy od Veronesa, poprzez Delacroix, Corota (Muza i poeta), Daumier (Don Kichot), aż do Cezaunela, van Gogha, i Renoira. Ta niezwykła wrażliwość płynęła przecież z żarliwości i szlachetnej pasji poznania i zgłębienia objawień nowoczesnej sztuki.*

Waliszewski zmarł zaledwie w 39-ym roku życia, w okresie gdy jego żywiołowe, orgjastyczne malarstwo rozwijało się w pełni, gdy postawa twórcza artysty zaczęła ostatecznie krystalizować się i stawać się najzupełniej własna, i odrębna,

Zygmunt Waliszewski urodził się w 1897 r. w Petersburgu.

W Tyflisie na Kaukazie uczęszcza na kursy malarskie Sklefasowskiego. Lata od 1914 do 1917 spędza na froncie, skąd powraca do Tyflisu. W czasie wojny odwiedza Moskwę, gdzie w Galerii Szczukina zaznajamia się z nowoczesnym malarstwem francuskim (Manet, Monet, Pissaro, Van Gogh, Cezanne) W r. 1921 wraca do kraju i wstępuje do Akad. Szt. Piękn. w Krakowie (Kurs prof. Weissa, później Pankiewicza). W roku 1923 organizuje wraz z kolegami „Komitet Paryski („K. P.") i wyjeżdża z nimi do Paryża. W tym czasie zapada na chorobę Bürgera, która stanie się z czasem powodem straszliwych cierpień i przedczesnego zgonu. W 1929 otrzymuje pierwszą nagrodę na konkursie polskich artystów plastyków w Paryżu. Po powrocie do Polski, w latach 1930, 1931 1933 i 1936 — otrzymuje nagrody na dorocznych salonach I.P.S-,u, maluje też plafon dla Sali „Kurzej Stopki na Wawelu. Umiera 5 października 1936 w Krakowie.

* * *

Wystawa prac Aleksandra Rafałowskiego jest retrospektywnym przeglądem głównych etapów twórczości tego nieprzeciętnie interesującego artysty. Rafałowski należy do nielicznej kategorii artystów, którzy nikogo niekokietują swym malarstwem. Jest to sztuka poważna, niemal surowa, która przemawia do nas przede wszystkim zdecydowanie malarską formą i nawskroś odrębnym stosunkiem artysty do otaczającego go świata. Nie ma w tym nic z blagi, łatwizn, taniego efekciarstwa — jest za to mozolna, wytrwała praca, zmaganie się z materiałem, świadome i celowe przezwyciężanie trudności technicznych. Malarstwo Rafałowskiego, w przeciwieństwie do tak ostatnio rozpanoszonych, impresjonistycznych, wykropkowanych płycizn, ma w sobie powagę i głębię starych Holendrów. Forma określona, kontur osadzony w barwie. Rzeczywistość w transpozycji malarskiej artysty, nie tonie ani zaciera się w barwnym confetti, ale nabiera mocnej, zmysłowej konkretności. Plama jest u Rafałowskiego zdefiniowana, kolor nie spływa z powierzchni obrazu, lecz gra walorem, bądź kontrastem i namacalną, mięsistą materią. Pewna brutalność i niekiedy brak dyscypliny formalnej świadczą raczej o rasowym, niehamowanym temperamencie artysty. Nie jest to malarstwo jeszcze ujarzmione ani grzeczne i dlatego może właśnie sugestjonuje nas zamaszystą brawurową indywidualnością tego tak bardzo bezpośredniego artysty.

* * *

*Akwarele Lucjana Adwentowicza o niesamowitej wizyjnej tematyce, traktowane **walorowo, zazwyczaj** w dwóch, trzech tonacjach — są dość jednostajne. Słabo zróżniczkowane w barwie, konstrukcyjnie chwiejne przemawiają jednak do nas liryzmem tłumionego, dyskretnego koloru i ekspresją pozamalarskiej treści.*

S. Babad

MOCNI LUDZIE

Szymon Horończyk należy niewątpliwie do czołowych przedstawicieli powojennej generacji prozaików żydowskich. Rzetelny i niezwykle pracowity artysta — posiada w swym dorobku literackim kilka pozycji o trwałej wartości artystycznej („Sumf", „Dos hojz ojfn barg" i inne). Do nich wypadnie również zaliczyć ostatnią książkę utalentowanego pisarza p. t. „Sztarke Menszen".

„Mocni ludzie" nie są bynajmniej luźnym zbiorem nowel i opowiadań. Utwory zebrane w tym tomie łączy ścisła współnota tematyczna, jednolite ustosunkowanie się autora do rzeczywistości, a przede wszystkim wspólna atmosfera duchowa. Od książki tej wieje mocna radość życia i zmysłowy stosunek do świata. Bohaterowie Horończyka nie są bynajmniej naturami analitycznymi. Nie analizują swych przeżyć, nie znają samoudręki, rozdarciem wewnętrznego, skrupułów moralnych. Żyją pełnią życia nie oglądając się na nic i nikogo, ulegają całkowicie głosowi krwi. Reagują na otaczającą ich rzeczywistość żywiołowo, zmysłowo, niemal fizjologicznie. Nie ma w nich ani krzty owej nerwowości i histerii, cechujących Żydów w diasporze. Tężyzna fizyczna, zmysłowy stosunek do świata, a przede wszystkim siła woli i potęga nieokiełznanych namiętności — oto zasadnicze cechy tych naprawdę „mocnych ludzi".

Akcja opowiadań i nowel Horończyka rozgrywa się na tle rzeczywstości małomiasteczkowej. Jakże dalekie jest jednak pełnej żywiołowej radości życia miasteczko Horończyka od romantycznej idylli Asza, od zamierającego w powolnej agonii miasteczka współczesnych prozaików żydowskich.

Podstawowa cecha talentu Horończyka — to jędrny, zdrowy realizm. Horończyk umie patrzeć i co najważniejsze, umie utrwalać rzeczy widziane, słyszane, przeżyte — w sposób barwny i plastyczny. Postaci jego mimo woli, nieodparcie narzucają się wyobraźni czytelnika. Horończyk potrafi też świetnie odtworzyć koloryt lokalny środowiska i fragmenty małomiasteczkowego życia.

Jedno wszakże można zarzucić autorowi „Mocnych ludzi": brak koncentracji, zbytnią rozwlekłość akcji. Ta cecha ujawnia się już w inauguracyjnym opowiadaniu p. t. „Gots miszpet". Kilka wstępnych rozdziałów, odtwarzających byt „leśnych Żydów" (rozdziały te same przez się, niezależnie od ogólnej konstrukcji utworu są barwne i ciekawe), śmiało mógł autor wydatnie skrócić. Zyskałaby na tym niewątpliwie ekspansja utworu. Uwaga czytelnika skoncentrowałaby się bardziej na podstawowym elemencie noweli: opisie potężnej namiętności Rajzl, opanowanej wszechwładnie przez żądzę zemsty.

Braki konstrukcyjne noweli okupują jednak wyborne obrazy obyczajowe i wspaniałe postaci Awroma-Israela i Rajzl. Afrom-Isroel jest typem „leśnego" Żyda, związanego organicznie z przyrodą i pracą fizyczną, nie mogącego się dostosować do środowiska miejskiego i kupieckiego trybu życia. Rajzl — to kobieta energiczna, zaradna, kierująca faktycznie interesami męża, kobieta o niezwykłej sile woli. Szczególnie zaszkodził brak koncentracji opowiadniu „Dos majdł fun majne hałojmes". Jest to zresztą w ogóle najsłabsza rzecz zbioru. Pomysł niezbyt oryginalny, opowiedziany tu został przez autora dość blado i niemożliwie rozwlekle.

Że jednak brak skupienia nie stanowi bynajmniej jakiejś organicznej cechy Horończyka świadczy chociażby piękna nowela „Rcyche", gdzie na przestrzeni kilku zaledwie stronic rozgrywa się przed naszymi oczyma straszliwy dramat miłości i sponiewieranej godności ludzkiej. „Rcyche" jest maleńkim arcydziełem ekspresji nowelistycznej.

Bez zarzutu jest „Biszek un zajn hojzgezynd". Szczególnie uderza czytelnika Biszek — prostak i gbur, jest jednak jednocześnie uosobieniem żywiołowej radości, życia nawskroś zmysłowego, zachłannego stosunku do rzeczywistości.

Piewca „mocnych ludzi" umie też uderzyć w tony bardziej subtelne, uczuciowe, niemal sentymentalne. Świadczy o tym świetne opowiadanie p. t. „Ojfn bajs ałmen". Jest to historia przemiany moralnej, jaka dokonała się w samotniku i mizantropie Kałmenie pod wpływem obudzonej miłości ojcowskiej do znalezionego przypadkiem podrzutka.

Summa summarum stanowi nowy tom Horończyka cenny wkład do dorobku najnowszej prozy żydowskiej.

ANTENA ŚWIATA

Tajemnica człowieka-tygrysa

Pewien dziennikarz austriacki przytacza w jednym z pism wiedeńskich bardzo interesujące wiadomości o pojawieniu się człowieka-tygrysa w okolicach Luigapire, które poniżej przytaczamy:

Podczas mojego pobytu w Luigapore policja portowa otrzymała depeszę o pojawieniu się straszliwego tygrysa w okolicach miasteczka Sakang, gdzie pięciu ludzi, cztery kobiety i jeden chłopiec stali się ofiarami okrucieństwa tego zwierza. Również „gusti" — burmistrz miasteczka — błagał o pomoc.

Porucznik Watson otrzymał rozkaz od policji portowej, aby w asyście czterech żołnierzy tubylczych udał się do dżungli i upolował płową bestię. Watson był namiętnym myśliwym, który w czasie swej bytności w Indiach upolował wiele tygrysów i znał dżunglę na wylot. Watson zrzekł się ekorty z żołnierzy tubylczych, albowiem był bardzo złego zdania o zimnej krwi żołnierzy tubylców w obliczu „władcy tygrysa".

Tegoż wieczora przybył on do mnie i zaproponował mi, aby mu towarzyszył w jego ekspedycji.

Po kilku godzinach podróży statkiem i czółnem przybyliśmy do bram miasteczka Sakang. Watson polecił natychmiast wezwać „gusti". Był to stary tubylec o oczach czerwonych od ciągłego używania opium. Zaprosił on nas do swego domostwa. I natychmiast zaczął lamentować nad losem biednych mieszkańców miasteczka, niepewnych życia z powodu okrutnej bestii.

Nagle Watson zapytał: A czy jest pośród was ktoś kto widział tę bestję?

Starzec drgnął i odrzekł cichym głosem: Nie, nikt nie widział okrutnika. Jest to bardzo zręczne zwierzę o straszliwych pazurach, których ślady znajdujemy na ciałach ofiar, podczas gdy żadnych innych śladów nigdzie nie znajdujemy. Zupełnie jakby rozprysnął się w powietrzu.

W takim razie — zauważył Watson — nie może to być zwykły tygrys... najpewniej jest to „człowiek - tygrys", A więc, wielkie słowo zostało powiedziane, stary gusti odetchnął z ulgą, zaczął na nowo lamentować

Watson zaczął nalegać, aby starzec wymienił osobę podejrzaną, ale ten w żaden sposób nie chciał żadnego nazwiska wymienić mówiąc, że nikt nie jest podejrzany, nawet czarownik.

To podkreślenie, że nawet czarownik zastanowiło Watsona i udaliśmy się natychmiast do mieszkania czarownika.

Czarownik znajdował się w swojej chatce pogrążony w zaklęciach i przyjął przybyszów bardzo niegościnnie. Pomimo, że rozumiał doskonale co doń mówił Watson, który znakomicie władał językiem tubylców pokazywał wciąż przybyszom drzwi, udając, że ich nie rozumie.

Watson, nie namyślając się długo, zerwał okrycie jakiem otulony był stary czarownik. Ten zadrżał i chciał się bronić, ale napróżno. Zdumieni spostrzegliśmy na jego piersi, na skórzanym pasie, umieszczone dwa wielkie zakrzywione metalowe pazury, czerwone od skrzepłej krwi. Najciekawszym w tym wszystkim był fakt, że w miasteczku nikogo nie zdziwiło to odkrycie. Wszyscy podejrzewali starego czarownika, ale nikt nie śmiał tego wymówić ani podnieść na niego rękę.

Teraz, gdy został on schwytany, języki rozwiązały się i zaczęto opowiadać o tym, jak będąc dwa lata temu w Birmanie przystąpił on do sekty ludzi-tygrysów.

Trzeba zaznaczyć, że stary uniknął kary, gdyż ktoś dostarczył mu do więzienia truciznę, która położyła kres jego awanturniczemu życiu.

Wspaniały most w okolicach Bieguna Północnego

W Szwecji Północnej w okolicy, odległej o 80 klm. od bieguna Północnego, skonstruowali ostatnio szwedcy inżynierowie wspaniały most z żelazo betonu, umożliwiający tym samym handel po przez rzekę Kalix.

Wspomniana rzeka posiada swe źródło w górach Kebnekaise, najwyższym szwedzkim masywie górskim. W okolicach Tarendo rzeka ta posiada szerokość ponad 140 klm. w sezonie suchym; lecz szerokość ta staje się prawie podwójna w okresie deszczowym. Właśnie w tym miejscu został przerzucony wspaniały most. Składa się on z dwuch równoległych łuków.

Zrozumiałą jest rzeczą, że nie mówiąc już o budowie, ale sam transport materiałów wymagał niezwykłych wysiłków w tej okolicy skrajnych temperatur.

Łuki łączą się ze sobą cementowymi belkami na których opiera się szkielet mostu. Podróżny, który znajdzie się przypadkiem w tej okolicy, zdumiewa się wspaniałością tego dzieła w tej tak opuszczonej polarnej krainie.

Most „Tarendo" jest tytułem do chwały w najpełniejszym tego słowa znaczeniu dla techniki szwedzkiej.

Rekin i fijołki

Cóż jest wspólnego pomiędzy rekinem a fijołkiem? Nie jest to żadna z pośród tak obecnie modnych zagadek, lecz zagadnienie naukowe, nad którym przez długi czas pracował pewien niemiecki uczony. I odpowiedź, którą otrzymaliśmy, jest nie mniej nieoczekiwana, jak samo pytanie: zapach. Skóra rekina zawiera tuszcz, którego zapach jest identyczny z zapachem esencji fijołkowych. Jedna z największych perfumerii niemieckich zainteresowała się tym odkryciem i przystąpiła już do fabrykacji na wielką skalę perfum z rekina, licząc, że te nowe perfumy wywołają sensację.

Terapia hormonowa przeciwko głuchocie

Na kongresie lekarskim w Cassel wygłosił prof. Koch z Gratzu niezmiernie interesujący referat o postępującej głuchocie wieku starczego.

Prof. Koch twierdzi, że głuchota tak samo, jak i inne przejawy starości, powstaje z niedostatecznego funkcjonowania pewnych gruczołów. W konsekwencji, jedyne leczenie jakie może być w danym wypadku stosowane jest to terapia hormonowa, umożliwiająca gruczołom ich dawniejszą aktywność. Prof. Koch stosował wobec swoich pacjentów wspomnianą terapię i i po upływie kilku tygodni, a często nawet paru dni, osiągnął zdumiewające rezultaty; również w wypadkach przewlekłej głuchoty stosuje prof Koch leczenie wyciągami z hormonów i tu również dochodzi do świetnych wyników.

Murzyniątko na scenie

W jednym z paryskich teatrów odbywają obecnie przedstawienia pewnej komedii której pointa polega na pojawieniu się w pewnej francuskiej burżuazyjnej rodzinie murzyniątka. Francuskie dzieci odnoszą się początkowo do czarnego malca z uprzedzeniem i zgadzają się na przyjęcie go do swego środowiska dopiero po pewnym czasie.

Panu Ministrowi Kolonii doniesiono, że niektóre sceny mogą dotknąć publiczność murzyńską. Wobec czego minister natychmiast skierował do teatru swego przedstawiciela, polecając mu uważne wysłuchanie całego przedstawienia. Po zasięgnięciu opinii swego eksperta miniser Montet zwrócił się do autora komedii — znakomitego pisarza Birabeau z prośbą, aby zechciał niektóre sceny w swej sztuce przerobić. Birabeau zgodził się i obecnie sztuka ta niczyich uczuć obrażać nie będzie.

Pelikany – niebezpieczeństwem dla amerykańskiego lotnictwa

Znamy wszyscy pelikana — to płetwonagie stworzenie mieszkające w Grecji, Egipcie, Azji i Stanach Zjednoczonych, o masywnym ciele, wielkiej szyji i o wspaniałych srebrzystych oczach. Zawdzięcza on znaczną część swojej popularności obszernemu wklęśnięciu jamy ustnej, które tworzy pod długim i obszernym dziobem olbrzymią „kieszeń", mogącą pomieścić ponad 20 litrów płynu, a które ptak ten używa jako aquarium, aby w niem przechowywać ryby złowione dla swych dzieci. Przed swym gniazdem wypróżnia swą kieszeń, co dało podstawy legendzie, że otwiera on żołądek aby nakarmić swe małe. Jeśli ptak jest niezmiernie ciekawy dla zoologa, o tyle mniej jest zajmujący dla lotników, latających po amerykańskiej stronie Pacyfiku. Wyspy kalifornijskie są miejscem pobytu olbrzymich kolonii pelikanów, szybujących na znacznej wysokości i lubiących w czasie swych ćwiczeń powietrznych rzucać się pomiędzy samoloty, powodując liczne wypadki. W rezultacie obsługa lotnicza zmuszona jes strzelać do nich z karabinów maszynowych, co wywołuje liczne masakry tych pięknych ptaków.

Już i człowiek jaskiniowy znał brzytew...

Badania archeologiczne przeprowadzane obecnie w Mezopotamii w ruinach najstarszego miasta świata, Tepe Gowra, dokonały pomiędzy innymi jednego bardzo ciekawego wykopaliska. Sławny archeolog, prof. pensywalskiego Uniwersytetu. Dr. Speiser, znalazł brzytew, pochodzącą conajmniej z przed 6 tysięcy lat. Jej rękojeść jest z gładkiego wapniowca posiada szczelinę na ostrze. To odkrycie znalazło w końcu wyjaśnienie dla licznych ostrzy znajdowanych w pieczarach, służących za mieszkanie naszym bardzo odległym przodkom. Dotychczas archeolodzy napróżno usiłowali odgadnąć przeznaczenie tych ciekawych narzędzi, i dopiero teraz, dzięki ostatnim odkryciom prof. Speisera, wiemy, że były to przedmioty toaletowe człowieka w epoce kamiennej. Po dokładnym zbadaniu brzytwy prof. Speiser oświadczył, że technika golenia się nie uczyniła najmniejszego postępu w ciągu ostatnich 6 tysiącleci.

To odrkycie znalazło w końcu wyjaśnienie dla licznych ostrzy znajdowanych pieczarach służących za mieszkanie naszym bardzo odległym przodkom. Dotychczas archeolodzy napróżno usiłowali odgarnąć przeznaczenie tych ciekawych narzędzi, i dopiero teraz, dzięki ostatnim odkryciom prof. Speisera, wiemy, że były to przedmioty toaletowe człowieka w epoce kamiennej. Po dokładnym zbadaniu brzytwy prof. Speiser oświadczył, że technika golenia się nie uczyniła najmniejszego postępu w ciągu ostatnich 6 tysiącleci.

(L—y.)

Teatr

TEATR NARODOWY: „POWRÓT PRZEŁĘCKIEGO" SZTUKA W 3 AKTACH JERZEGO ZAWIEJSKIEGO.

Śledzimy dalszy ciąg „Przepióreczki" Żeromskiego na scenie. Ekspozycja zbyteczna. Autor pokazuje nam dalsze losy tak nam bliskich bohaterów „Przepióreczki": Przełęckiego, Smugonia, Smugoniowej. Żeromski kończy „Przepióreczkę" odejściem Przełęckiego, który nagle znika z Porębiam, w które włożył tyle energii i pracy. Ucieka, nie chcąc zbudować własnego szczęścia na cudzej krzywdzie i nieszczęściu. Poświęca siebie całego, by uratować swoje „ja" moralne. Ale przed odejściem żąda od Smugonia jako ekwiwalent za swoją ofiarę bezwzględnego oddania się sprawie Porębiam, wytrwania na posterunku, wytrwania bezwzględnego z pełnym zaparciem się siebie, bo inaczej on wróci i zabierze Smugoniową. Jest to warunek, który rzec można stanowi atmosferę sztuki Zawieyskiego. Warunek ten jak miecz Damoklesa wisi nad głową biednego na śmierć udręczonego Smugonia, który wreszcie sam jeden, przez wszystkich opuszczony, broni sprawy instytutu regionalnego na zamku w Porębiamach.

Po 10 latach Przełęcki wraca. Powrót jego jest jakoś dziwnie tajemniczy. Wraca z dalekiego świata, by znów odejść w świat daleki, — Porębianom już nie potrzebny. Inne nastały czasy, inni przyszli ludzie. Syn chłopski magister filozofii, Gabryś, wypowiada wojnę „zamkowi" w Porębiach. Słuszność jest po stronie Gabrysia. Stopniowo przeciąga Gabryś na swoją stronę członków zarządu instytutu, tego dzieła Przełęckiego, którego czujący się w Porębianach duch, opętał warującego jak pies przy swej żonie, Smugonia. Porębiany stały się kieratem udręczeń dla Smugoniów. Z poświęcenia i samozaparcia się Przełęckiego nie wynikło nic dobrego. Ani Smugoń, ani sprawa Porębian nie zyskały na tym. Przełęcki „zniszczył instynkt, uratował świętość", ale z jakże marnym rezultatem. Opłakanie wypadł wynik tego poświęcenia, gdyż taki być musi naturalny bieg rzeczy. Jest to bowiem pogwałceniem natury dla idei bez pokrycia. Żeromski kończąc „Przepióreczkę" na odejściu Przełęckiego, pozostawił kwestię „co dalej?" otwartą. Znał on siłę instynktu, i wątpić należy, czy Żeromski kontynuując akcję sztuki poprowadziłby ja po linii „Powrotu Przełęckiego". Jasny idealistyczny realizm Żeromskiego nabrał u Zawieyskiego ibsenowskich półcieni, ibsenowskiej zagadkowości: Na starym zamku w Porębianach duch Przełęckiego straszy Smugonia, a Smugoniowa niby cień snuje się po domu myślą i sercem nieobecna.

Koncepcja sztuki nie jest bardzo szczęśliwa ale pod względem budowy scen i dialogów dobrze wyzyskana. Znać, że autor jest dobrze obeznany z arkanami teatru i wie jak montować sceny i dozować napięcie. Najlepszym bezsprzecznie był akt drugi (cały). Obfitował w momenty bardzo mocne. Również dobre były pierwsze sceny aktu 3-go — rozmowa: Przełęcki — Gabryś pełna subtelnych niedomówień. Finał natomiast wypadł blado, a to z powodu niefortunnego założenia sztuki.

Wyreżysował sztukę świetnie Osterwa. Podjął się on też kontynuacji roli Przełęckiego, z której wydobył maksimum ekspresji, Modzelewska wzruszała swoją melancholijną rezygnacją, a w scenach: Przełęcki—Smugoniowa miała szczególnie mocne akcenty. Dominiak w roli Smugonia stworzył typ fizycznie zdrowego, a psychicznie zdruzgotanego chłopa — nauczyciela. Uważam jednak, że było trochę za dużo tego płaczu, który często raził, a który należało zastąpić raczej bardziej cichym wewnętrznym cierpieniem. Hnydziński w roli Gabrysia dał nam mocną sylwetkę pełnego energii i zapału młodego działacza ludowego — człowieka, do którego należy przyszłość.

Reszta zespołu grała bez zarzutu. Dekoracje Stanisława Jarockiego.

J. LESER

Kino

„LEGIA ZATRACEŃCÓW" COLLOSSEUM.

Któż nie pamięta tej największej atrakcji z pierwszych lat rozwoju kina, jaką były filmy cow-boyskie, filmy przez szereg lat cieszące się największym powodzeniem. Dzisiaj to jednak uległo zmianie. Nikogo nie porywają już tak szalone przygody i perypetie nieokiełznanych bohaterów prerii amerykańskiej, brawurowa jazda konna przy akompaniamencie niemilknących strzałów przestała być równoważnikiem największych wzruszeń publiczności, stracił już swą popularność „król prerii", Tom Mix. A jednak tego rodzaju filmy nie poszły zupełnie w zapomnienie. Co roku o pewnej porze pojawiają się na ekranach tytuły filmów, zapowiadające karkołomne potyczki, brawurowe przygody — zawsze uwieńczone zwycięstwem dzielnych cow-boy'ów. Tylko, że te filmy stały się teraz symbolem „ogórkowego sezonu". I zawsze znajduje się publiczność, chętnie spędzająca dwie godziny upalnego wieczoru na przeżywaniu wrażeń, przypominających jej pierwsze „filmowe wzruszenia". Aczkolwiek te „ogórkowe" filmy bywały zwykle bardzo słabe. W tym roku sprawa ma się inaczej i dla amatorów tego rodzaju filmów znacznie lepiej.

Po doskonałym „Buffalo Bill" — „Legia zatraceńców" jest filmem, bezwzględnie spełniającym wszystkie warunki dobrego filmu cow-boyskiego. Szybkie, zwarte tempo, gładka reżyseria, interesujące, a nie tak bezmyślne przygody bohatera, dają film bardzo „spanent". Fred Mac Murray stworzył sylwetkę dzielnego chłopca, którego charakter, usposobienie i całe życie nie pozbawione były poezji mimo zewnętrznej szczerości. Piękne zdjęcia, emocjonujące, oryginalne sceny walk indian dopełniają nadspodziewanie udanej całości.

„KUSICIELKA" — STYLOWY.

Ten bardzo interesujący film jest dziwną mieszaniną momentów, oddających często bardzo trafnie poważne i istotne zagadnienia życiowe z prawdziwie amerykańskim spłyceniem i zwulgaryzowaniem zachodzących konfliktów. Przede wszystkim wszystko dzieje się także po amerykańsku za szybko: żaden nałogowy pijak nie wyleczy się z swej choroby w ciągu niespełna tygodnia, żadna kobieta, tak zniechęcona do życia i mająca tak bogatą przeszłość, jak bohaterka tego filmu, nie zakocha się w ciągu jednego dnia w mężczyźnie, któremu przedtem, okazywała niekłamaną pogardę i nienawiść i w ogóle nie bardzo umotywowana wydaje się ta cała cudowna i tak szybka przemiana.

Znakomita jako pijana, znajdująca się na krawędzi ostatecznego upadku aktorka, przemawiająca najsilniej w momentach histerii i rozpaczy — w scenach, gdy ma być piękną, szczęśliwą „gwiazdą" — zawodzi i nie motywuje dostatecznie swego oszałamiającego powodzenia i nieodpartego fatum, przynoszonego kochającym ją mężczyznom. Franchot Tone stworzył postać najprawdziwszą i najbardziej psychologicznie umotywowaną w całym filmie. Ten prawy prosty człowiek, tak wiele wymagający od innych, ale i od siebie, nie znoszący żadnych kompromisów z prawdą i etyką, a przy tym nie nudny, niemęczący, bardzo młody i bardzo porywający jest jedną z najsympatyczniejszych postaci „filmów salonowych" z życia tego „górnego tysiąca".

. . Film ten pod względem reżyserskim stoiacym na wysokim poziomie, obfitujący w interesujące, mocne sceny, grany doskonale wyróżnił by się nie tylko na tle obecnego „letniego" repertuaru.

T. S.

Już ukazał się 1-szy numer dwutygodnika literackiego w jęz. żydowskim pod red. M. Oleja.

Treść numeru: Młody Spinoza (wiersz); Nawoth (jednoatówka biblijna); Żydzi (wiersz); Drobni kupcy (powieść); Pieśń o przyrodzie (essay); Podlaska jutrznia (powiastki). — 32 str. — 15 gr. Do nabycia we wszystkich kioskach.

Adres Red. i Admin.: Warszawa, Franciszkańska 27—48.

STER jest organem żydow. myśli demokratycznej
STER jest tygodnikiem inteligencji żydowskiej
Czytajcie i rozpowszechniajcie
STER

Almanach szkolnictwa żydowskiego w Polsce

Ukazał się w druku Trzeci Zeszyt Okazowy .**Almanachu Szkolnictwa Żydowskiego** w Polsce. Zeszyt zawiera 180 stron oraz liczne ilustracje i zdjęcia. Z bogatej treści Zeszytu Trzeciego wspomnieć należy artykuły: J. Zineman — Zadania i cele Almanachu Szkolnictwa Żydowskiego w Polsce; Dr. S. Stendiga — Pedagogowie .żydowscy w Polsce współczesnej. **Biografie:** Janusza Korczaka, błp. dra Sz. J. Czarny i wielu innych wybitnych pedagogów. **Opisy:** Gimnazjum Żyd. w Krakowie, Szkoły Zawodowej żyd. tow. „Pomoc Pracy w Wilnie, Gimnazjum Żydowskiego w Międzyrzecu Podlaskim i wielu innych skół i instytucyj wychowawczych.

Zeszyt nabyć można: .**Wyd. „Renesans", Warszawa, Mariańska 7, Telefon: 646-49...**

JEDNOMYŚLNOŚĆ MILIONÓW



Jednomyślność jest zjawiskiem nader rzadkim. „Ile ludzi — tyle zdań" głosi znane przysłowie, a fakt ten możemy zau ważyć łatwo we wszystkich dziedzinach życia współczesnego. Ale nie ma reguły bez wyjątków, a tych wyjątków wystarczyłoby niewątpliwie dla stworzenia nowej reguły. Ale do naprawdę rzadkich wyjątków, należy jednomyślna opinia MILIONÓW LUDZI, głosząca, że najlepszą CZEKOLADĄ JEST CZEKOLADA MLECZNA—MIGDAŁOWA WYROBU F. „PLUTOS" S. A. dzięki wykwintnemu smakowi, który nie ma równego sobie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

MGR. F. W. (LWÓW); Prosimy o nadesłanie prac do oceny.

L. K. (POZNAŃ): Utworu drukować nie możemy ze względów od nas niezależnych. Rękopis przesyłamy pocztą.

B. SZ. (ŁÓDŹ): Książki dotąd nie otrzymaliśmy.

J. F. (KALISZ): Nie skorzystamy.

S. W. (WARSZAWA): Wiersz bardzo słaby.

L. SZ. (WARSZAWA): Zachowaliśmy w tece.

J. B. (MIZOCZ): Recenzja zbyt ogólnikowa.

J. P. (SOSNOWIEC): Artykuł nieaktualny.

M. G. (KATOWICE): Zamieścimy.

KSIĄŻKI NADESŁANE:

Marian Czuchnowski: Cynk. Nakładem autora.

Dr. Abraham Insler: Lenendy i fakty. Wyd. „Cofim".

Doc. dr. Edmund Stein: Majmonides jako arystotelik żydowski.

Zbigniew Uniłowski: Z dziejów nudy. (Pamiętnik morski).

Julian S. Huxley i A. Haddon: My europejczycy. Wyd.: Nowa Biblioteka Społeczna.

SPROSTOWANIE.

Przekładu noweli p. t. Menora zamieszczonej w Nr. 21 „Steru" dokonał Leo Belmont.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM

Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o.

Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa, Pawia 10.